



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarń, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Reforma szkolna we Francyi.—Słowa prawdy — IV. (Ludzie i rzeczy) p. M. S. — Głódowa pożyczka, nowella, p. Sewera. — Paweł Broca p. J. J. T. — Edmond Adam, jako powieściopisarka, II. p. Walerya Marrené. — Myśl Banku Hipotecznego (skreślił Józef Kirsztot) p. Jana Finkelhausa. — Badania dziejowe: Wiadomość historyczna o rodzie Świnków oraz rodowód pochodzącej od nich rodziny Zielińskich herbu Świnka przez G. i J. Zielińskich. Juliana Bartoszewicza: Studya historyczne i literackie, p. Wł. Smoleńskiego. — Piśmiennictwo polskie: O przyszłości religijnej, przez Napoleona Węgleńskiego. Poezya w wychowaniu, przez d-ra Piotra Chmielowskiego, p. A. G. Bema. — Liberum veto. — W Perspektywie p. A.—m. — Tydzień polityczny p. S. S. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

REFORMA SZKOLNA we Francyi.

Zdawało się, że zamierzone na wielką skalę przekształcenie wychowania publicznego we Francyi uwieńczy Rzeczpospolitą wkrótce pięknym wawrzynem. Tymczasem, dzięki takim liberałom, jak osławiony J. Simon, dzwoniącym ciągle w klerikalną sygnaturkę, olbrzymi program przeskoczył zawady jedną tylko nogą — bezpłatnością nauczania. Senat tak pokaleczył uchwałą Izby, że ona tej kaleki zatwierdzić nie może i musi ją odłożyć do lepszych czasów.

Przeciwko powszechnemu obowiązkowi uczęszczania do szkoły wystąpili tylko klerikalni. W imieniu praw rodzicielskich (dla oparcia się oświacie prawa te umieją oni szanować) żądali swobody ciemnoty, chociaż sam nawet kodeks zabrania rodzicom pozostawiać dzieci bez wychowania. Ciekawym zaiste argumentem chcieli poodeprzeć swoją chromającą logikę, mianowicie, że „uczciwi ojcowie“ bez przymusu kształcą swoje potomstwo. Nazywamy ten argument ciekawym, gdyż w takim razie prawo zwróciłoby się tylko przeciw ojcom niuencziwym, prawica zaś stanęła w ich obronie. Na pochwałę Senatowi francuskiego przyznać trzeba, że w tej walce za prawa ciemnoty nikt prawicy nie sekundował. Potykała ona się sama.

Przedmiotem głównego starcia była sprawa oddzielenia szkoły od kościoła. Na wyłączenie duchowieństwa z nadzoru szkolnego Senat w zasadzie się zgodził; gdy jednak klerikalni znana taktyką wnoszenia poprawek zaczęli ściągać skórę z projektu — ostygł poprzedni animusz. Projekt żądał,

ażebym przedmiotem obowiązkowego kształcenia była naprzód nauka moralności i obowiązków obywatelskich. Prawica proponowała, ażeby do „moralności“ dodano: „religijnej.“ Tym sposobem wyznaniowość oświaty, niewpuuszczona do planu edukacyjnego, dzięki tej poprawce miała wejść doń tylnymi drzwiczkami. Moralność religijna bowiem jest moralnością pewnego określonego wyznania, moralnością kościoła. Manewr jednak się nie udał, poprawka upadła. Spór wszakże rozwinął się dalej i zakończył charakterystycznym rezultatem. Klerikalni zarzucili rządowi i republikanom, że ci chcą „szkoły bez Boga.“ Zarzut ten zranił kilkudziesięciu senatorów, deistów ze szkoły Rousseau'a, którzy nie podzielają przekonań klerikalnych, ale w Boga dogmatycznie wierzą. Na bezwyznaniowość się godzą, ale na ateizm nigdy. Otóż z przerażenia tych ludzi skorzystał smutnego gatunku „liberał“, J. Simon, grający rolę kota przewracającego kregle, który zawołał: Odpieracie zarzut, jakobyście chcieli szkoły bez Boga; dla czegoż nie wniesiecie do prawa, ażeby nauczyciel wykladał dzieciom obowiązki względem Boga i ojczyzny? Prawica przyklasnęła temu wymownemu zwrotowi, a J. Simon wystąpił z odpowiednią poprawką, która zyskała większość 13 głosów.

Poprawka ta ma dwie słabe strony: jest dwuznaczną i niebezpieczną. Treść wsuniętej formuły nie jednako rozumieli ci, którzy ją przyjęli. Wyraz „Bóg“ w ustach J. Simona ma zupełnie inne znaczenie, niż w ustach Chesnelonga lub biskupa Froeppe-la. To też prezes miał zupełną słuszość, pytając: „O jakim Bogu mówicie?“ Bo jeśli on jest pojęciem filozoficznym, sankcją prawa etycznego, podpada pod pojęcie moralności; jeżeli go zaś weźmiemy w zwykłym rozumieniu, jest Bogiem religii pozytyw-

wnej, wyznania, kościoła. A wtedy po moście tego pojęcia wyznaniowość znowu powraca do szkoły. Klerikalni, głosując za wnioskiem J. Simona, mieli na myśli Boga katolickiego. Daremnie prezes ministrów wykazywał dwuznaczność tego pojmowania, dodając, że senat nie jest koncylium, ażeby rozstrzygał o Bogu; prawica nie chciała ustąpić, a deisci wpaść w podejrzenie o ateizm. Jakież jednak byłby rezultat, gdyby formuła Simona stała się prawem? Nauczyciel musi wykladać obowiązki względem Boga — według czego? Według swoich kajetów, gdyż katechizm wraz z księdzem jest ze szkoły usunięty? Jeżeli nauka obowiązków względem Boga ma się istotnie odbywać, to trzeba przyjąć za podstawę jakąś pozytywną religię — czyli znowu zrobić szkołę wyznaniową; ponieważ zaś ksiądz jest z niej wyłączony, zatem nauczyciele opieraliby się na swoich religiach. W ten sposób jedna szkoła przechodziłaby kolejno przez najrozmaitsze wyznania — dzięki conceptowi p. J. Simona.

Łatwo przewidzieć niezawodny w takim stanie zamęt. Ale zamętu właśnie potrzebował taki spekulant, jak J. Simon. Raz biskup Dupanloup nazwał go „kardynałem“, chcąc przez to wyrazić uznanie dla zręczności intryganta, umiającego stwarzać takie stosunki, z których klerikalni i jezuiti największą ciągną korzyść. Rzeczywiście, J. Simon matactwami lat ostatnich, oszukującami liberalizm na rzecz ultramontanizmu, wysłużył sobie kardynalski kapelus, chociaż ostatecznie klerykałów nie zyskał a postępowców stracił. Na szczęście swoje jest on senatorem dożywotnim, o szacunek narodu zatem troszczyć się nie potrzebuje. Jest to posada jak gdyby stworzona dla takich ichmościów.

Napozór dziwnem się zdaje, że ultramontanizm, którym przenikliwość odmówić nie-

podobna, wplatają swoje interesy w intrygi Simona, w rezultacie nieprzynoszące im trwałego zysku. Przy bliższem jednak zbadaniu stosunków postępowanie ich przedstawi nam się zupełnie naturalnem. Straciwszy władzę, tracą w kraju powagę, wpływ i zmysł polityczny. Pozbawieni opory, chwytają się każdego manekina, który ich przez chwilę podtrzymać może. O duchowym poziomie, na jakim obecnie znajduje się to stronnictwo, daje nam wyobrażenie świeży wiec katolików w Lille. Niejaki Belcastel, mówiąc o „socyalem królestwie Jezusa Chrystusa,“ za najskuteczniejszy środek zażegnania rewolucyi politycznej, społecznej i religijnej—polecił „wieczne odmawianie różańca.“ Rada ta przekonywa, jak potrzebnem jest we Francyi... obowiązkowe kształcenie się.

Bądźmy pewni, że wszystkie różańce Belcastlów, wszystkie krętaactwa Simonów sprawy tej nie zabiją, bo ona jest koniecznem wymaganiem cywilizacyi. Wszystkie wielkie zagadnienia, kryjące się w łonie ludzkości, mogą być rozwiązane tylko przez szkołę i to przez szkołę, opatrzoną prawem przymusu. Prawo to dla wszystkich państw, które żyć mają, jest tylko kwestyą czasu: do jednych wejdzie prędzej (o ile nie weszło), do drugich później. Ta lub owa kłoda, rzucona na drogę postępu ogólnej wiedzy, może jej pochód opóźnić, ale nie zdoła go wstrzymać. Wszystko da się zniszczyć, ale potrzeba nigdy. O istnieniu zaś tej potrzeby świadczą i wiecznie świadczyć będą praktycznie nawet te organa, które w teorii zamykają przed narodem drzwi do szkoły. Przysłuchajmy się głosom pism, nawet u nas, hodującym ciemnotę, jak one, zapominając o swem stanowisku, wołają nieraz, strwożone groźnymi objawami życia: światła! światła!

SŁOWA PRAWDY.

IV.

(Ludzie i rzeczy.)

Cicho, głucho, aż duszno w naszym dziennikarskiem rojowisku, dopóki ktoś nie popelni najcięższego zgrzechów społecznych—

nie wystawi w teatrze nowej sztuki, w której piszczy świerszczyk, zwany tendencyą. Wtedy rozpoczyna się między nami nagle życie. Widząc krytyków, czyszczących (od ostatniego czerwonego afisza) broń i rozpuszczających chorągiew swego obozu, słysząc ich ożywione gwary lub szept, zdaje się, że patrzymy na przygotowania do wielkiej wyprawy, która ma rozstrzygnąć o długoletnich losach narodu. A to tylko idzie o potępienie lub zganienie nowej sztuki! Wyroki zresztą dawno przygotowane. Bez względu na to, co się na scenie odegra, jeden będzie okłaskiwał autora, drugi go wysyła, jeden rzuci mu bukiety, drugi zgniłe jajka.

— Gdzie pan tak pędzisz? pytałem raz jednego z literatów.

— Idę „splukać“ Lubowskiego.

I splukał.

— A skoś pan nisko Zalewskiego, nie żałuj—mówił redaktor do swego recenzenta.

— Znasz pan jego komedję?

— Nie, ale co ten samochwał mógł dobrego napisać.

Naturalnie recenzent Zalewskiego skośił.

— Mellerowa wystawia znowu jakąś marynatę—rzekł do mnie inny literat—trzeba będzie ją podlać octem...

I podlał.

Nie było tu żadnego udania. Wszyscy ci ludzie, idąc do teatru, byli tak przekonani, że ujrzą popis niedołęztwa, jak byli przekonani, że się zasłona podniesie. Niepotrzebowali wcale sztucznie się nastrajać. Każdy wyraz zgóry osądzonej sztuki brzmiał w ich uszach dźwiękiem głupstwa. Poszli na przedstawienie po to tylko, ażeby sprawdzić rachunek prawdopodobieństwa, który ich nigdy nie omylił.

Dla zrównowazenia tych nieprzejednanych wrogów mądra natura otworzyła równie nieprzejednanych przyjaciół. Jak są jedni, którzy nie mogą sobie wyobrazić, ażeby Zalewski, Lubowski, Mellerowa mogli napisać coś dobrego, podobnie są drudzy, którzy nie przypuszczają, ażeby ci autorowie zdolni byli się potknąć. Dla tych znowu Zalewski zawsze będzie „majstrem“, Lubowski dowcipnym, Sienkiewicz wielkim artystą, a Bliziński „ciepłym realistą,“

bezwzględnie na to, co im z pod pióra wypadnie.

Podobne stosunki zachodzą w innych wypadkach, w których nasz ul literacki objawia życie—przy odczytach. Tu znowu znajdują się ludzie, dla których Tarnowski zawsze będzie „krytykiem subtelnym i eleganckim,“ Chmielowski suchym erudyta, Świętochowski zuchwałym bezbożnikiem a Kotarbiński wytwornym deklamator. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby Jeleński napisał broszurę o żydach, i gdyby ją kolejno, wobec coraz innego areopagu, odczytali: Tarnowski, Chmielowski, Sienkiewicz, Bogusławski, za każdym razem sąd o niej wypadłby inaczej. Usłyszeliśmy:

Tarnowski: „Subtelność krytyki walczyła o lepsze z wytwornością słowa. Hr. T. osłoniwszy lekką gazą postać naszego Izraela, wskazał jego dodatnie i ujemne strony, ale wskazał bez wstrętnych obnażeń i bez cynicznych dotknięć. Pozytywizm nie miał się czem napawać.“

Chmielowski: „Prelegent umie być gruntownym, chociaż nie umie być przenikliwym, a nadewszystko lubuje się w szorstkościach wyrażenia i w koncercie swego odczytu każe zbyt często odzywać się pozytywnej piszczałce.“

Bogusławski (głos z innego obozu): „Płytkość jest zaletą prelegenta, której on się nigdy nie pozbywa. W jego lekcyi nie dostrzeżliśmy bystrości, tylko umiejętność nawijania na siebie frazeologicznego kokonu, który chce być jedwabnikiem, a jest pajęczyną i t. d.“

Takim sądom uległaby trzema ustami odczytana praca p. Jeleńskiego.

Nie może być inaczej wtedy, gdy zamiast rzeczy bierzemy ludzi; gdy chcąc ocenić jakiś utwór, patrzymy w oczy jego autorowi. Jeżeli p. X. jest dla mnie wstrętnym, jeżeli nie podobają mi się jego zbyt wyłożone kołnierzyki lub zbyt obwisłe uszy, jeżeli podrażnił jakąś czulą we mnie strunę, lub naodwrot, jeżeli wszystko mnie w nim zachwyca, i jeżeli sądząc jego pracę, nie ją mam na myśli, ale jej autora, naturalnie muszę spłacić dług moim uprzedzonom. Płacimy go też ze składanymi procentami. Często między przyjaciółmi i nie-

GŁODOWA POŻYCZKA

NOWELLA
Sewera.

III.

Dnie wlokły się powoli, lecz tygodnie uciekały lotem ptaka. Zima znaczyła się śniegiem; białe było na świecie; czasem czerwono od zachodzącego słońca, a czasem i ciemno od chmur, i straszno od jęku wiatru. Wrony lecące do lasu krakały.

Matka i Antos tylko mieli buty; oni też wychodzili z chaty. Chłopiec wymajstrował sobie sanki, i odziany płachtą Smoleński chodząc co dzień do lasu, obrywał suszki, układał na sanki, i wracał z niemi do domu. Jagielina przędła i zarabiała na sól, czasem ludzie płacili jej odrobiną ziarna lub maki. I wtedy na obiad występowały kluski, z czego było dużo uciechy.

Z uciekającymi tygodniami nikły i kartofle. a zima srożyła się coraz cięższa. Antos marzył, lecz nie ustawał, drzewo woził, i choć mroźny coraz więcej dokuczał, pospieszywał sobie:

„Ach, Boże mój,
„Jakże słodki dzióbek Twój.“

Piosnkę tę spiewywali farnale, i dlatego upodobał ją sobie.

Nastał ciężki mróz. Ziemniaków była już tylko odrobina, Antos wracał coraz wcześniej, coraz mniej drzewa przywoził, zimno go przejmowało, chłopiec, źle okryty, kostniał, z głodu słabnął, lecz się nie skarżył.

— Bo przed kim? Matusia wyjęliby z pod serca, lecz cóż — sami nie mają.

Wieczorem wrócił z lasu Antos, cały z zimna siny.

Saneczki z drzewem wciągnięto do izby, ogień nałożono, matka pobiegła do karczmy kupić kaszy jęczmiennej.

Antosia przechodziło jakieś zimno po kościach. Zjadłszy kolację, wsunął się pod płachtę, i słomianą matę, przytulił się do Jasia, i usnął.

Nad ranem zaczęła płakać Ulinka, za

nią Marysia. Antos, Jas i Jagusia nie płakali, lecz z zimna zębami dzwonili.

Napróżno matka tuliła do siebie dwoje najmłodszych — napróżno! Mróz, jak ogień, leciał z nieba, drzewo w chacie trzeszczało. Na świtanie zerwała się, rozpalila ogień, nawarzyła żur, — dzieci go piły z chciwością — zagrzały się i zasnęły.

Wstał Antos, zabrał sanki i pociągnął w las. Nie długo jednak bawił — wrócił bez drzewa.

— Matusiu, już nie mogę — szepnął — potoczył się do łóżka i wsunął pod matę.

— A cóż ci to moje dziecko — zawołała przestraszona kobieta.

— Haniebko zmarłem w nocy, głowa mi się zawraca, kłuje w boku i pali na wewnątrz. Nie zasedłbym do lasu.

Nie było czasu na żale i pociechy. Zimno, ten straszny gość, coraz więcej wypełniał izbę. Kobieta się odziała, czem mogła, pochwyciła za powrózek od sanek — wybiegła.

Długo nie wracała. Dzieci, z zimna nie mogąc spać, płakały. Jagusia także drżała, i dlatego nie śmiała wstać i szukać drzewa.

Dobrze już było po południu, kiedy dzie-

przyjaciółmi sązonego odbywa się formalna licytacja: w miarę jak jedna strona postępuje wyżej, druga zsuwa swoją cenę coraz niżej. Po pewnym czasie takiej licytacji dochodzi do tego, że gdy jedni mianują autora geniuszem, drudzy idyotą; gdy tamci przyznają mu wszystko, ci odzierają go z wszystkiego. A odurzona tą walką plusów z minusami publiczność patrzy i nie wie, komu wierzyć.

Czy tylko publiczność? I świat literacki w nielepším znajduje się położeniu. Wszyscy wiemy, kto komu sprzyja, ale nie wiemy, co warte są te prace, które ciągle do piśmiennictwa wpływają. Widzimy ludzi, wielkich dla jednej, małych dla drugiej strony; widzimy „niepospolite talenta“, nazywane „niepospolitemi miernotami“, widzimy sieć najsprzeczniejszych uczuć, otaczających każdego pisarza, ale nie znamy wartości stworzonych przez niego rzeczy. Powie ktoś, że jest to zjawisko, powtarzające się w każdej literaturze. Nigdy tak rażąco. We Francji wiadomo, że utwory Zoli są znakomite, chociaż przez wielu nie lubiane; gdyby wśród nas urodził się Zola, moglibyśmy być w wątpliwości, czy nie szkoda czernionego przezeń papieru. Wierz mi czytelniku (i pociesz się), że jeśli nie czytałem jakiej książki lub nie widziałem komedii, nie mam o nich — mimo studiowania sprawozdań — nawet przybliżonego pojęcia. Bo naturalnie, gdy krytycy starają się autorów tylko „płukać“ i „kosić“ lub „wysrubować“, możność przedmiotowego poznania ich prac niknie.

Chociażbym miał raz jeszcze spróbować głosu wołających na puszczy, powiem, że czas już skończyć sądzenie w literaturze ludzi zamiast rzeczy, zamiast ich prac; czas zacząć objaśniać naród o wartości utworów, przybywających do jego umysłowego skarbcza. Dotychczasowa metoda zaszczerpiła bardzo niezdrowe wymagania, obowiązujące pisma do czynów, niemających nic wspólnego ani z zasadami, ani z kierunkiem opinii publicznej. Liberalizm pojmujemy, jako systematyczne łajanie Sarneckich, Zalewskich i Szymanowskich; konserwatyzm znowu jako czernienie Chmielowskich, Świętochowskich i Smoleńskich. Nie żądamy, ażeby wszyscy znaleźli się na jednej

drodze, ale żeby w sądzeniu rzeczy nie wywłączono ludzi. Bez wątplenia, daleko większa zachodzi dla mnie możliwość sympatyzowania z tem, co napisze Spasowicz, niż z tem, co napisze Tarnowski; nie sądzę jednak, ażeby musiał Tarnowskiego zawsze „płukać“ i bezwzględną nagana dla jego prac dowodzić mego liberalizmu. Nikt o sobie powiedzieć nie może, że jest zupełnie sprawiedliwym, ale każdy może być rzetelnym. Nikt Temidą być nie zdoła, ale potwarcą być nie potrzebuje. Tymczasem obmowa osobista, szczególnie uprawiana przez lekkomyślnych zachowawców, niemających nad nią innej broni w walce o byt, zachwiała naszą prasę w sposób przerażający. Wobec niej — rzeczy, dzieła zginęły, pozostali tylko ludzie naszpikowani zatrutymi strzałami wrogów i gojący rany balsamem uznania przyjaciół. I czyż żądamy za wiele? Wszak tyle tylko, ażeby o utworze pisarza mówiono tak, jak o butach szewca, czy są dobre lub złe, z pominięciem dodatku, że ów szewc lubi wódkę i nie szanuje żony.

M. S.

PAWEŁ BROCA.

Rok upłynął od czasu śmierci tego badacza, jednego z najwszechstronniejszych uczonych francuzkich. Chwilę tę uważamy za stosowną do uczczenia jego pamięci przed czytelnikami *Prawdy*, zauważywszy przytem, iż dzień, w którym te słowa piszemy (9 lipca), jest dziwnym zbiegiem okoliczności pierwszą rocznicą jego zgonu.

Biograf Pawła Broca, p. S. Pozzi, kreśli wizerunek zgasłego uczzonego z prawdziwą miłością. Przedstawia go nam w ostatnich latach jego działalności, jako starca o młodzieńcem i żywym usposobieniu, jako nieutrudzonego we wszelkich gałęziach pracy badacza, jako serdecznego przyjaciela, dobrego kolegę, a co najważniejsza — wykazuje jedną z najszlachetniejszych cech jego umysłu, mianowicie: głęboką poglądów naukowych, niepozwalającą na zajęcie stanowiska przywódcy jakiejkolwiek partii politycznej: „Unikał Broca — mówi o nim Pozzi — jaknajstaranniej wszelkich rozpraw, do których mieszałyby się sprawy religijne lub polityczne. Postępowanie takie uważał za poniżające naukę, której

nie godzi się, jego zdaniem, sprowadzać z jej wzniosłych wyżyn na usługi niskich potrzeb stronnictwa lub dogmatu.“

Z tymi przymiotami umysłu łączył nieporównaną pracowitość. Czterdzieści lat swego życia poświęcił niezmordowanej pracy, — a jakie są jej owoce, zobaczymy pokrótce.

Urodzony w r. 1824 w Sainte-Foy-la-Grande, ze starej hugonotów rodziny, już w stosunkach rodzinnych wczesnego dzieciństwa przywykł do zamknięcia niezależności umysłowej, do pogardy wszelkiego ucisku. W r. 1832 wstąpił do kolegium w Sainte-Foy, które podówczas gromadziło w swych murach protestancką młodzież całej Francji. Szkoła rozwinęła tylko dalej wpływy domowe i przyczyniła się do wytworzenia w Broce niezależnego i silnego charakteru.

Początkowym zamiarem młodzieńca było oddać się naukom matematycznym; wypadki rodzinne i nalegania ojca, lekarza, skłoniły go do poświęcenia się medycynie, którą z wielkim powodzeniem studiował w Paryżu. Przeszedłszy w stosunkowo najkrótszym czasie wszystkie szczeble hierarchii medycznej, już w 25 roku życia uzyskał stopień doktora medycyny, i zajął stanowisko prosektora przy katedrze chirurgii, na której rozpoczął wykłady dopiero w pięć lat później.

Główną sławę swą Broca zawdzięcza antropologii; zapominając jednak nie należy, że i medycyna, a mianowicie chirurgia i anatomia patologiczna bardzo wiele mu zawdzięczają. Już sam wzgląd na tę jedną okoliczność, że Broca był pierwszym z tych, którzy zwrócili uwagę na olbrzymie znaczenie mikroskopu w badaniach patologicznych, nie pozwoli nigdy zapomnieć o jego zasługach dla medycyny.

Nie będziemy wyliczać wszystkich prac tego badacza z zakresu chirurgii, anatomii i rozmaitych innych gałęzi wiedzy medycznej, wspomnimy tylko onajobszerniejsze jego dzieło, noszące tytuł *Traité des tumeurs*. Pierwszy tom jest ogólną nauką o nowotworach, drugi traktuje je szczegółowo. Tom trzeci nie wyszedł z druku, z powodu, że Broca przyjął czynny udział w olbrzymim angielskim wydawnictwie *Cyclopedia of practical Surgery*, prowadzonym przez Costellogo.

Z odkryć Broki winniśmy zauważyć pogląd jego na odżywianie się tkanek, pozbawionych naczyń krwionośnych, jak chrząstka, soczewki oka i t. p. Pogląd jego, utrzymujący, że tkanki mogą czerpać pokarm nie koniecznie ze krwi, lecz i z przesiąkających je płynów, utrzymał się do dziś. Nie mniej ważnymi były odkrycia jego w nauce o tętniakach i w ogóle o krą-

ci zobaczyły matkę, a za nią pełne saneczki drzewa. Radość błyszczała im w oczach, wydobywając się ochryplymi głoskami.

Plomień buchnął. — Jagusia się zwłoka pomagać matce do ugotowania jęczmiennej kaszy. Jeden tylko Antos się nie odzywał. Rozpalilo go, i usnął.

Markotno było dzieciom bez Antosia, ale jakoś zapomniały o nim wobec gotującej się kaszy jęczmiennej.

— Słyszycie, jak to pyrey — zwracał uwagę dzieci Jas na odgłos gotującej się kaszy.

Dzieci słuchały.

— A jużci, ze pyrey. Co niema pyreeć, obłożona takim ogniem, zawyrokowała Jagusia.

Kaszę zjedzono; drzewo się spaliło. Jagielina przyniosła snopek słomy od Smoleńki, rozpostarła go na macie; nie mogła wytrzymać w izbie, poszła do dzieci, tuląc do siebie.

Wiatr się zerwał.

— Bez pierzyny na taki mróz, przy takim wietrze nie przetrzymamy zimy. Dzieciśka mi pomarzną, i ja z niemi. Ha, dziej się wolo Boza — byle prędzej, byle pręd-

dziej — szeptała — byłem ich nie przeżyła.

Wiatr huczał i szarpał chatę, zdawało się, że dach porwie. Nie pomogła derka, ani mata, ani snopek słomy przyniesiony od Smoleńki. Dzieci z zimna z początku zębami dzwoniły, potem sen ich zmorzył, — matka tylko nie spała, pełna strasznych przeczuc. Mrowie ją przechodziło po ciele, bała się, choć nie wiedziała czego. Ulinka zaczęła się rozpalać, czuła to, tuląc do siebie dziecko.

Za Ulinką poszła Marysia, potem obie ziębły i kostniały. Głowa kobiecie ciężyla, sny ciężkie, straszne sny trapiły ją.

Ranitko wyjrzała z za maty Jagusia, za nią Jas. Matka i dwie dziewczynki spały.

Wiatr się zerwał; dziewczynka wdziała buty Antosia i wybiegła do sąsiedniego płotu nałamać chrustu. Roznieciła ogień, lecz matusia się nie przebudziła. Jas ją trącał nie śmiało. Oczy otworzyła, i znowu je zamknęła. Jagusia z Jasiem szeptała, że matusię musiało zimno wytrząść, bo i z niej gorąco leci.

Ostatek ziemniaków oskrobała i zjadła je z Jasiem.

— Co ja teraz nieszczęśliwa sama będę robić? Antos chory, matusia nie mogą ocu otworzyć — a tu ci mróz!... Przechyliła się nad łóżkiem:

Matusiu — matusiu — moja złota matusiu — otwórzcie ino ocy, przemówcie słówko...

Matusia nie otworzyła oczu i nie przemówiła.

I cóż miała robić — wsunęła się za słomianą matę. Troszkę płakała, troszkę się skarżyła — zasnęła.

— Pić — pić wołały dzieci, Antos i matka.

Podawała im wody Jagusia, i znowu się przy Antosiu w nogach macezynych kładła.

Tak przeszedł dzień. Nad wieczorem i Jas przestał się odzywać. I znowu nastała długa, ciemna noc, straszna swą ciszą, przerywana odgłosem pękającego od zimna drzewa.

Jagusia dygotała całą noc. Matka się zrywała, wołając przeraźliwym głosem:

— Do dworu, do dworu!

zeniu. Zdania jego w tym przedmiocie, wygłoszone na długo przed odkryciem sphymografu, t. j. przyrządu do automatycznego zapisywania zmian ciśnienia krwi w naczyniach, okazały się zupełnie słusznymi i prawdziwymi.

Największym jednak bez zaprzeczenia tryumfem było odkrycie tego ośrodka mózgu, który rządzi naszym organem mowy. Wówczas, gdy jeszcze nie było zupełnie utrwalonem pojęcie o tem, że każda część naszego mózgu służy do kierowania pewną określoną funkcją naszego organizmu, Broca niezbitem rozumowaniem dowiódł, że organ mowy naszej jest w ścisłym związku z tylną częścią trzeciego zwoju czołowego lewej półkuli mózgu; że każda zmiana organiczna tej właśnie części mózgu pociąga za sobą nieodwołalną utratę mowy.

Nie możemy tu przytaczać wszystkich jego dowodów w tym przedmiocie, wspomnimy tylko o operacji, stanowiącej bez zaprzeczenia jeden z największych tryumfów nie tylko Broki, ale całej w ogóle medycyny: Choremu, który utracił mowę, Broca przetrępanoła czaszkę w odpowiednim miejscu, i usunąwszy w ten sposób wrzód, wywierający ucisk na mózg, przywrócił mu utraconą zdolność mówienia. Operacja ta jest podwójnie ważną: stanowi ona dowód postępu zarówno nauki jak i sztuki leczenia.

Przytoczeniem jej rzuciliśmy za ledwie jeden rys działalności Broki na polu medycyny; kreślić innych nie możemy, pomimo całego ogromu zasług nieboszczyka na tem polu; natomiast musimy streścić pokrótce rys jego działalności w sferze antropologii.

W roku 1838 Wiliam Edwards założył w Paryżu towarzystwo etnologiczne, poświęcone badaniom tych właśnie zagadnień, które dzisiaj stanowią przedmiot antropologii. Czyto z tego powodu, że założone przed czasem, czy z innych przyczyn, dość że wlokło ono wcale niezadowolająco swój żywot, aż nareszcie w r. 1848, gdy wszyscy zebrani członkowie, nie nie mieli sobie do powiedzenia — rozwiązało się. Lecz właśnie na rok przed rozpadnięciem się towarzystwa etnologicznego, t. j. w r. 1847, wówczas gdy Broca był dopiero pomocnikiem przy katedrze anatomii (*aide d'anatomie*), powierzono mu urzędową czynność, wymagającą obznajmienia się z danymi antropologii. Czynność ta pchnęła go na pole studyów antropologicznych, których owocem była rozprawa o niewyczerpanej płodności metysów.

W braku odnośnego towarzystwa, gdzie by mógł swą pracę przedstawić, udał się on do towarzystwa biologicznego, w któ-

rem prezes, Rayer, przerwał mu czytanie, gdy rozpoczął przytaczać fakty niezgodne z teoriami monogemistów. Broca zamilkł, a jak utrzymuje jego biograf, Pozzi — raczej skutkiem pogrzebienia widokiem słabości w człowieku nauki, niż skutkiem uległości powadze prezesa. Niezwłocznie też ogłosił w *Journal de la physiologie* tę samą pracę p. t. *L'Hybridité animal en général et sur l'hybridité humaine en particulier*.

Ten smutny epizod, który w swoim czasie narobił wiele wrzawy w towarzystwie biologicznem, wykazał konieczność utworzenia nowego zgromadzenia, gdzieby traktowanie kwestyj, dotyczących rodzaju ludzkiego, nie było krępowane żadnymi względami.

Utworzeniu nowego towarzystwa stało na zawadzie bardzo wiele przeszkód. Zebrał wprawdzie Broca dwadzieścia podpisów, lecz połowę z nich otrzymał raczej przez grzeczność, niż wskutek istotnego pojmowania potrzeby tego rodzaju zgromadzenia. Nareszcie po wielu trudach udało się uzyskać pozwolenie otwarcia publicznych posiedzeń, z tem wszakże zastrzeżeniem, aby na każdym był obecny komisarz policyjny, w celu zdawania władzom raportu o ich przebiegu.

Pierwsze posiedzenie odbyło się 19 maja 1859 roku, i od tego czasu rozpoczęła się płodna i szybka działalność młodego towarzystwa, które założyło sobie nadzwyczaj obszerny program, i którego powodzenie było właśnie skutkiem tej rozległości programu. Po ogłoszeniu pierwszego tomu sprawozdań wszyscy przekonali się o czystości naukowych jego dążnościach, wskutek czego rozpraszać się zaczęły te obawy, jakie młoda instytucja budziła przed swemi narodzinami. Minister oświaty, p. Rouland zatwierdził ją urzędowo w r. 1861, a w trzy lata później nowy minister p. Duruy polecił je względem rady stanu.

Po czterech latach istnienia wzrost towarzystwa był tak szybki, że potrzebowało ono koniecznie urzędowego sekretarza. Na pierwsze trzechlecie wybrano Brokę, i wybór ten potwierdzano aż do dnia śmierci sędziwego starca.

Od czasu zajęcia się antropologią, Broca począł zbierać czaszki, a ufundowanie muzeum antropologicznego stało się jedną z najbardziej ulubionych jego myśli. Powodzenie jego na tem polu było szybkie i wielkie, dzięki stosunkom z lekarzami okrętowymi, z którymi znajdował się w korespondencji i którzy mu przysyłali okazy z rozmaitych okolic całego świata. Lecz wiadomo każdemu, że muzeum bez pracowni jest po prostu niemożliwem, więc też Broca musiał spełnić nowe zadanie: stworzyć pracownię antropologiczną.

Stanowisko profesora fakultetu dawało mu możność posiadania pracowni dla swych własnych, *osobistych poszukiwań*; nieco później jednak zdołał otrzymać laboratorium poszukiwań (*laboratoire des recherches*), w którym dano mu, oprócz niższej służby, pomoc złożoną z dyrektora i dwóch zastępców, obowiązanych do dawania wskazówek naukowych każdemu, kto tego zapragnie.

Niedość na tem, Broca utworzył szkołę antropologii, a możność założenia jej zawdzięczał głównie swym serdecznym stosunkom z kolegami, których opinia była mu potrzebna, w celu uzyskania kredytu z ministeryum. Nim jednak szkoła ta powstała, trzeba było zwalczyć wiele przeszkód.

Dzięki jego zabiegom, i ofiarności znakomitego a wpływowego chemika Wurtza, zdołano zebrać prywatnie 35,000 franków na pierwsze potrzeby. W czerwcu 1875 rozpoczęto prace przygotowawcze, i ukończono je w dziesięć miesięcy, lecz czas ten był najgorszym dla pełnych poświęcenia założycieli. Prasa klerykalna poczęła czynić wycieczki przeciwko przyszłemu profesorowi nowej szkoły, oskarżać ich o ateizm, materializm, i tak dalej, a w chwili, gdy chodziło o zatwierdzenie z takim wysiłkiem dzwigniętego zakładu, urządziła prawdziwą i systematyczną kampanię, którą zdołała do tego stopnia otumanić ministra oświecenia, iż ten udzielił pozwolenie, ale tylko na jeden rok i tylko *ad personam*.

Pomimo to wszystko Broca w grudniu 1876 otworzył szkołę, której został dyrektorem. Udzielono jej trwałe zatwierdzenie, a nawet izby zagłasowały roczną zapomogę w kwocie 20,000 franków, co łącznie z prywatnemi ofiarami i procentami — dało jej do rozporządzenia 34,000 franków rocznie. Dziś więc przyszłość jej jest pewna.

Niezależnie od wszystkich napadów na wielkiego badacza, został on przez rzeczywistą powołany do Senatu, gdzie pracował z równą gorliwością.

Nie przypominamy sobie, ażeby jakie jego dzieło było przyswojone naszej literaturze. Ośm lub dziewięć lat temu *Gazeta Polska* umieściła przekład krytycznych uwag o poglądach Darwina na pochodzenie gatunków. Uwagi te są bezsprzecznie najznakomitszymi, jakie po polsku o Darwinie czyniono, i są utrzymane w tym słacchetnym, spokojnym tonie, który tylko głębokim umysłem jest właściwy. Wątpimy, czy między krytykami i częściowymi przeciwnikami Darwina był drugi, którego by on równie szanował.

Jeśli u nas wiadomości antropologiczne rozwijać się dalej będą, to część zasługi

Wystraszona dziewczynka dzikim głosem matki, tuliła się do Antosia, ale dobrze pamiętała, że matusia chciała biedzić do dworu.

Przed samem świtaniem wszystko uciło. Matusia jakoś skostniała i wyciągnęła się, bo też zimno było okrutne — woda w konewce do dna zmarzła. I Jagusia pewnoby umarła, ale się grzała przy rozpalonej Antosiu.

— Do dworu, do dworu — powtarzała sobie całe rano dziewczynka, choć nie miała odwagi wstać.

I po cóż miała wstawiać, kaszy już nie było — i ani jednego ziemniaka.

— Do dworu, do dworu — coś jej szeptało do ucha.

Zerwała się, wysunęła powoli matę, okryła się nią, i w butach Antosia, brnąc po śniegu, szarpana przez wiatr, dostała się do kuchni. Wpadła z płaczem.

Sześciem była pani.

Za parę chwil przed chatą Jagieliny wysiadła panienska z Jagusią. Za niemi niósł lokaj garnek ciepłego rosółu.

Zapóźno! Troje dzieci i matka zmarznięte! Umarła trzymała Ułisę w objęciach, — Marysię, przytuloną do niej, obejmowała ręką. Jaś skulony leżał na kraju łóżka.

— Ratujcie — wołała przerażona panienska.

Nadbiegł fornał.

— Moja panienko, niema tu już rady. Skostnieli na piękne. Niechno panienska spojrz, jakie to mają zamrznęte oczy... Bez pierzyny na taki mróz; toby i pies nie wytrzymał, a cóż to mówić o kobiecie i takim drobiazgu. Jeszcze jedno zostało, możeby to panienska jako uratowała.

Panienska posłała po ciepłe okrycie, aby w niem Antosia przewieźć, tymczasem karmiła go rosółem. Chłopiec pięć dni prócz wody nie w ustach nie miał.

Jagusia cicho, lecz serdecznie płakała.

Nadjechał dziedzic.

— Prawdziwa tragedia — zawołał, — był bowiem z niego kawał literata.

— Ojczy, i pozwalamy na to, aby pod naszym bokiem ludzie umierali z zimna — mówiła córka.

— Po oddzieleniu dworu od gminy, pozostało nam jedyne prawo: patrzeć i słuchać.

— Trzeba je zmienić.

— Idź do sejmu, moje dziecko.

— Żeby się tylko tam dostać mogła, powiedziałabym im!

Opakowanego Antosia a z nim i Jagusią odwieziono do dworu.

Jagielinę i troje jej dzieci pochowano w jednym dole. Gospodyni jegomości odebrała derkę. Antos ułożony na piecu w kuchni — w dwa tygodnie przyszedł do siebie. Dziedzic mu kupił kożuch, i przeznaczył za chłopca przy cugowych koniach. Panienska zajęła się Jagusią.

* * *

(Dokończenie nastąpi).

spadnie na tego znakomitego pracownika. I my więc winniśmy mu wdzięczność za ten zapal, z jakim poświęcał się nauce, i za to, czego dokonał.

J. J. T.

EDMOND ADAM

jako powieściopisarka.

II.

Pani Edmond Adam zaczęła więc pisać powieści, i powieści te używają we Francji wielkiego rozgłosu. Rozstawiają je współpracownicy *Revue nouvelle*, stronnicy polityczni, i wszyscy, którzy uczęszczają do jej salonu. Czytają z ciekawością ci znowu, co chcą, w nich pochwycić istotę niepospolitej kobiety, i zdać sobie sprawę z jej dążeń, zapatrywać, a wreszcie talentu.

Na tem stanowisku i my także stoimy, my którzy z oddalenia niedowierzamy zbyt stronnictwem pochwałą, podnoszącym dzieła pani Adam do apoteozy, ani krytykom, które znowu tendencyjnie uważają je za sprawy antychrysta; rozpatrujemy się w nich, jako w dokumentach, świadczących sprawiedliwie o umysłowości autorki.

Powieści tych wyszło kilka, jedna lub dwie jednak starczą zupełnie do scharakteryzowania sposobu pisania pani Adam. Mistrznią i wzorem jej w literackim zawodzie była Sand. W młodych jeszcze latach pani Adam napisała do niej list pełen uwielbienia, który otworzył jej podwoje willi w Nohant, a pani Sand, poznawszy ją bliżej, zachęcała do spróbowania pióra, przepowiadając świetną przyszłość. Młoda kobieta uwierzyła tym przepowiedniom, pochlebiającym miłości własnej; my jednak, czytając jej dzieła, uznać ich nie możemy. Nie wierzymy w wyrocznie, a powaga sławnego nazwiska tyle razy służyła za płaszczyk miernotom, iż szanując bardzo talent zmarłej autorki, bynajmniej nie czujemy się obowiązani podzielać jej pobłażliwego sądu.

Jedną z powieści swoich—*Laide*, wydaną przed dwoma laty, pani Adam a raczej Julieta Lamber, gdyż podpisuje się tym pseudonimem, poświęca ukochanej pamięci swej mistrzyni. Autorka tutaj, jak i w innych powieściach swoich, sili się niezmiennie na oryginalność, zapominając o tem pierwotnym prawie sztuki, iż owa oryginalność nie leży w temacie, ale w indywidualnem zapatrywaniu, które może każdy przedmiot uczynić świeżym i nowym, jeśli tylko świeżość ta istnieje w oku i myśli autora; czyli mówiąc słowami Zoli, jeśli posiada on indywidualne zapatrywanie się na naturę. Ta świeżość, ta oryginalność stanowi istotę talentu, i tego zastąpić nie zdoła ani pracowita intryga, która lękając się zapewne pospolitości, wpada w niepodobieństwo, ani kunsztowne opisy, ani nawet wezwania do bóstw mitologicznych, jak scena w *Laide*, w której bohaterka wzywa pod wszystkimi znanymi starożytności nazwiskami—Dyanę o pomoc i opiekę, lub w *Jean et Pascal*, w której Jan odzywa się równie uczenie do bóstw wodnych.

Sceny te w każdym razie świadczą daleko więcej o erudycji, niż o dobrym smaku pani Adam; są bezcelowe, napuszyste, a nawet zupełnie komiczne wśród dzisiejszego świata i dzisiejszych obyczajów, świadczą nadto, że autorka nie umie być konsekwentną codo zasad swoich, i wprowadza do powieści żywioły, niemające nic wspólnego z realistyczną szkołą natury, będącej tylko manifestacją literacką zasad stronnictwa, do którego należy. Zmacone żywioły dziewiętnastego stulecia tylko za pomocą obserwacji rozjaśnione być mogą. Powieść będzie służyła dzielnie temu celowi, ale pod warunkiem, iż badać będzie naturę w rozmaitych stanach i fazach, że stanie

się *dokumentem ludzkim*. Tymczasem napuszystość i nieprawdopodobieństwo są to dwie kardynalne cechy, wszystkich niemal utworów autorki, które zaprzeczają jej prawa bytu w literaturze obecnej. Za dowód posłużyć może najpobieżniejszy rzut okana dwie powieści—*Laide* i *Jean et Pascal*, wybrane przypadkowo z pośród pięciu czy sześciu, stanowiących jej balast literacki.

Laide (brzydka), jak sam tytuł wskazuje, jest to historia kobiety, pozbawionej tego, co jej w dzisiejszym społeczeństwie daje jedynie prawo bytu — piękności. Zewnętrzne przymioty stanowią przywilej wrodzony, brak ich pociąga nieraz za sobą tragiczne następstwa, jest fatalizmem dla kobiety, gdyż wydziedzicza ją z największego skarbu, jaki posiadać może — z miłości. Jest to znakomity materiał do powieści lub dramatu — dowiódł tego Władysław Okoński, w postaci Ireny, w dramacie *Piękna*, uczynił on jednak los Ireny tem tragiczniejszym, iż przeciwstawił jej — ideał niewieściego wdzięku w Emilli, i umieścił ją z konieczności położenia przy boku tej ostatniej.

Na szczęście jednak w dzisiejszych czasach gusta są tak rozmaite, iż w ten sposób wydziedziczone i upośledzone istoty trafiają się niezmiernie rzadko; od czasu, jak klasyczna piękność z tradycyjnego piedestału straconą została, trudno jest o bezwzględnie brzydką kobietę, to jest o taką, któraby nikomu podobać się nie mogła, a tem trudniej też w Paryżu, gdzie obiega znany pewnik *on se fait jolies femme*, czyli, że za pomocą umiejętnej toalety można zaradzić niedoborom natury jeśli tylko kobieta ma spryt i środki. Jedno zaś i drugie posiada bohaterka Brzydkiej.

Helena, bo jakby na urągowisko nosi ona to imię, jest córką rzeźbiarza, co według autorki potęguje jej nieszczęście. Brzydota jej jednak nie jest grzechem pierworodnym; przeciwnie, urodziła się cudownie piękną, tylko około lat 8-miu dostała tyfusu, i w skutek choroby zbrzydła tak strasznie, iż matka z rozpaczcy umarła, a ojciec ją znieawdził.

Dotąd podobne przemiany były specyalnością ospy, autorce jednak podobało się przeznaczyć na ich sprawcę tyfus; zostawiamy lekarzom sąd, czy fakt jest możliwy.

Helena, oszpecona, stara się łagodnością, dobrocią, rozumem zastąpić urodę, którą straciła. Wbrew jednak moralnemu powiatkom, a w zgodzie, co prawda, z rzeczywistością — skutek nie odpowiada usiłowaniu: piękność moralna wcale fizycznej nie zastępuje, przeciwnie, nienawiść ojca do brzydkiej córki wzrasta tak dalece, iż nie może cierpieć jej w swoim domu, i kiedy Helena kończy lat 25, wydalą ją z niego bez względu na jej lzy, i miłość, jaką mu okazuje. Autorka gromadzi nieprawdopodobieństwa, ażeby los swojej ofiary tem tragiczniejszym uczynić. Nie twierdzimy stanowczo, iż taki ojciec istnieć nie może, bo na świecie wszystko jest możliwem, powiemy tylko, iż na szczęście ludzkości do nadzwyczajnie rzadkich wyjątków policzony być musi.

Pod ciosem niesprawiedliwości ojcowskiej, wyczerpuje się łagodność Heleny; wybucha ona i powiada, że zbyt wiele cierpiała. Rzekniesz może, iż to tylko jako córka, cierpi srożej jeszcze z powodu skrytej miłości dla Gwidona, pięknego i utalentowanego syna ojcowskiego przyjaciela.

Mamy prawo spodziewać się, że wypędzona z domu bohaterka uczyni coś nadzwyczajnego, dopuści się aktu rozpaczcy, albo też mścić się będzie na społeczeństwie całem, jak to zapowiada wyraźnie. Pomimo tej groźby jednak poprzestaje ona na tem, iż zaczyna używać milionów, które posiada, jakkolwiek nie wiemy, dla czego nie używała ich dotąd, i w czem na ten zwykły fakt wpłynęła niesprawiedliwość ojca.

Widocznie w tem miejscu pani Adam daje Helenie swoje własne gusta, technie w nią miłość towarzyskiego rozgłosu, jaką sama posiada. Urządza ona dom z wielkim smakiem, postanawia konkursy artystyczne, otwiera salon, do którego cisną się znakomitości Paryża, jak do salonu autorki, a pozbywszy się dawnej nieśmiałości, zostaje — siłą rozumu, nauki, i wytwornego smaku, jedną z władczyń mody.

Przemiana ta odbywa się w oczach zdziwionego czytelnika, który sądzi, iż autorka tym sposobem chce pokazać tryumf inteligencji nad położeniem, zasobów umysłowych nad nieforemnością twarzy; tymczasem owa przemiana jest tylko wstępem do innej, daleko ważniejszej, według pani Adam, bo Helena, dostawszy drugi raz tyfusu, odzyskuje swą dziecinną piękność, i ośniewa zarówno zewnętrznemi, jak wewnętrznemi przymiotami.

Tak snuje się w głównych zarysach treść tej rozgłosnej powieści, o której przed dwoma laty rozpisywały się szeroko dzienniki francuskie, darząc ją zdawkowemi pochwałami. Jest ona tak dalece nieprawdopodobną, że uwalnia od szczegółowego rozbioru; wszystko dzieje się za pomocą czynników niby naturalnych, a jednak tak mało odpowiednich naturze i prawdzie, iż wolelibyśmy wprost bajkę fantastyczną, gdzieby laska czarodziejska jakiej wieszczki, obdarzonej wszechwładną potęgą, odgrywała rolę, jaką tutaj autorka tyfusowi narzuca. Można by zresztą do pewnego stopnia przebaczyć cudowności faktów, gdyby on służył do wykazania jakiego psychologicznego procesu, do głębokiej analizy uczuć.

Tymczasem z tych cudownych przemian Heleny dowiadujemy się tylko, iż jest ona bardzo nieszczęśliwą, będąc brzydką, a bardzo szczęśliwą, odzyskawszy piękność, o którą pewnej księżycowej nocy modli się gorąco do siostry Apollina, i wreszcie, że Gwidon, który do czasu przemiany obchodził się z nią, jak z siostrą, czuje w tem nowem położeniu gorącą ku niej miłość. Są to fakta tak naturalne, iż nie potrzebują dowodzenia, i nie wymagały bynajmniej arcymrośnawych zdażeń powieści.

Autorka nagromadziła w niej mnóstwo szczegółów mniej więcej udatnych, ale te nie zbawiają całości, i czynią wrażenie przygód pracowicie wymyślonych. Dowodzą one, że pani Adam nie posiada talentu, lecz tylko powiedziała sobie z góry, iż napisze powieść, i dokonała wytrwale trudnego przedsięwzięcia. Stąd płynie oschłość, i zupełny brak interesu, bo to, co odczutem nie było, nie może wywołać wrażenia. Mamy tu zbiór dyalogów o sztuce, estetyce, uczuciu, zbiór wypadków, niebędących konieczną konsekwencją charakterów, wiele rozpraw i opisów zręcznie z sobą powiązanych, ale nie mamy wcale organicznej powieściowej całości.

Być może, iż pani Adam szła śladem mistrzyni swojej pani Sand, której wiele powieści, jak n. p. *Pan Sylwester* lub *Panna de la Quintinie*, nazwać można tezą filozoficzną.

Jakkolwiek powieści te nie odpowiadają dzisiejszym wymaganiom, nie mają realizmu, ani obiektywności, którą na pierwszym planie stawiamy obecnie, choć nie lubimy interesować się postaciami, których czujemy fikcyjność, — na każdym kroku porywa nas urok talentu wielkiej twórczyni *Indjany* i *Walentyny*, która malowała może mało realnych ludzi, ale nadawała im prawdziwe uczucie, umiała technąć w nich ogień istotnych namiętności i gorących przekonań.

Jakże blade, nędznie, karłowato, wyglądają przy niej bohaterowie pani Edmond Adam, i to nie tylko w *Brzydkiej*, ale i w innych powieściach, które nie mają może jej wad kardynalnych, ale za to mniej jeszcze przedstawiają zajęcia.

Brak talentu autorki jest tak rażący, iż najbogatszy temat, najszlachetniejsze uczu-

cia zbawić jej nie mogą. Przypatrzmy się np. powieści *Jean et Pascal*, która rozgrywa się na szczytach inteligencji, o serce i rękę pięknej, dowcipnej, wykształconej dziewczyny, a której tłem jest uczucie patriotyczne.

Jan i Paskal kończą razem politechniczną szkołę z wielkiem odznaczeniem, są serdecznymi przyjaciółmi a Jan pragnąc wzmocnić ten węzeł, przeznacza jedną siostrę swoją, Magdalene, za żonę przyjacielowi, który jest człowiekiem wielkiego charakteru i nauki.

Magdalena od dzieciństwa zna Paskala, i ma dla niego serdeczne uczucie. Niestety w piersi młodego człowieka tkwi smutek nieuleczony: jest on mieszkańcem Alzacy, i znieść nie może myśli, iż jego rodzinna prowincja odpadła od wspólnej macierzy — Francji. Wtem usposobieniu umysłu razi go każda zabawa, każdy wybuch śmiechu zdaje się uragać jego boleści; tymczasem Magdalena jest uosobieniem młodzińczego wesela.

Stąd kolizja konieczna. Magdalena jest zbyt pustą i wesołą dla Paskala, Paskal zbyt poważny dla Magdaleny; młoda dziewczyna skłania się poślubić włoskiego kuzyna, radosnego i młodego, jak promień słoneczny, i poślubiłaby go z pewnością, gdyby nie ojciec, który odmawia pozwolenia na ślub z cudzoziemcem, i brat, który bierze na siebie rolę pośrednika, tłumaczy przyjacielowi, że jest sensatem, że na nim leży obowiązek nie dozwolenia, by wydarło Francji tak kosztowny klejnot, jakim jest Magdalena, siostrze zaś przedstawia, że sama nie wie, co robi, a obojgu, że się kochają, i pomimo wzajemnego oporu — łączą się wreszcie.

Tym sposobem Jan jest jedyną figurą, działającą w powieści, a główni bohaterowie nie mieszają się do niej zupełnie. On przemawia za jedną i za drugą stroną, i potrosze wbrew ich woli prowadzi ich do ołtarza.

Powieść cała pisana jest w listach, a opisy natury, jak np. porównania krajobrazów włoskich i szwajcarskich, zabierają w niej daleko więcej miejsca od uczuć. Zresztą uczucia wypowiedane przez osobę trzecią mają coś ryczałtowego, nie nęcą subtelnością, ani prawdą, która w podobnych razach stanowi ich główną wartość, a przytem zbyt mało znamy i Paskala i Magdalene, by nas kolizja uczuć pomiędzy niemi obchodzić mogła. Widzimy z jednej strony pustą kokietkę, z drugiej zaś nie obywatela zrozpaczonego nieszczęściem publicznem, ale uparte melancholika, co zamiast wypowiedzieć się jasno, stanąć na określonym stanowisku, przybiera niezrozumiałe formy. Nie wiemy właściwie, dla czego oddała się uparcie od Magdaleny, aby potem do niej powrócić. Uczucia jego są teatralne i napuszone. Nie pojmujemy, dla czego razi go kuzynka Joanna, która z poświęceniem, godnem swej imienniczki, Joanny d' Arc, pełni w Alzacy obywatelskie obowiązki, i mamy mu za złe, iż przenosi nad nią płochą, pełną kaprysów i lekkomyślności Magdalene. Czyniąc to, przeniewierza się on swoim ideom, i swojej miłości ojczyzny. Niepojmujemy bowiem, co by Francja straciła na tem, gdyby piękna paryżanka poślubiła swojego włocha, czyniąc z tego małżeństwa dla Paskala kwestję patriotyczną. Pani Adam dziwnie pomniejsza ideę, której służyć pragnie. Magdalena bowiem, jakkolwiek Jan zachwyca się nieustannie jej dowcipem, wdziękiem i wytwornością, dla nas, którzy nie mamy dla niej braterskich uprzedzeń, wydaje się najpospolitszą kapryśnicą i kokietką, podejrzujemy nawet, że tak jak w ogóle u paryżanek — jedną z jej głównych zalet stanowi suknia, a Paskal daje się złapać na tę najpospolitszą ponętę. „Francja także jest kobietą,” mówi on w końcu, decydując się przyjąć rękę Magdaleny, i tym sposobem godzi swój patriotyzm z miłością wmo-

wioną mu przez przyjaciela. Przyznajemy, iż to rozumowanie pod względem racjonalnym dużo zostawia do życzenia, i że trudno nam brać na seryo człowieka, który się niem posługuje.

Dla pani Edmond Adam wystarcza to jednak zupełnie, i w ten sposób kończy ona swoją powieść. Prawda, iż zastanowiwszy się chwilę, nie możemy pojąć jej racji bytu, gdyż brat Jan mógł wytłumaczyć odrazu Paskalowi i Magdalene to, co tłumaczy im w końcu.

Obrazy natury są właściwie najważniejszą częścią książki, tak jak opisy arcydzieł sztuki we Włoszech — są najważniejszą częścią Korynny pani Staël. Podobna dwistość zadania stanowi niezmierną trudność, której żaden talent przezwyciężyć dotąd nie był w stanie; nie dziw więc, że nie przezwyciężyła jej pani Adam. Opisom jej nie brak trafności, tworzyłby one może same przez się zajmujące wspomnienia podróży, gdy tymczasem wtrącające się do powieści wielką niezręcznością — w ten sposób, że do reszty psują jej słaby efekt. Tak np. Jan opisuje w liście do Paskala tragiczną chwilę, w której siostra przyrzekła swą rękę włochowi, i tuż obok, w tymże samym liście — umieszcza niezmiernie długi opis cieplarni, w której tę wiadomość odebrał, i najrozmaitszych gatunków storczyków, jakie się w niej znajdowały.

Fakta podobne świadczą o braku zdolności powieściowych, a nawet o braku dobrego smaku; bo nie trudno zrozumieć, że w chwili gwałtownego wzruszenia nie zwraca się uwagi na poboczne przedmioty, a tem bardziej nie kresli ich malowniczego obrazu.

Pani Adam sili się widocznie na styl wytworny, frazesa jej są pracowite, pozabawione łatwości i wdzięku, porównania wyszukane, koloryt często przesadzony; jeśli więc dodamy do tych cech ujemnych zupełny brak pomysłowości, zrozumiemy łatwo, iż utwory jej są napuszone, cześciinudne zarazem. Jako autorka więc nie przedstawia żadnego interesu, i nie otrzyma powieściowego berła, które śmierć wytrąciła z ręki pani Sand.

Prawdopodobnie w stosunkach towarzyskich nie ma ona wad cechujących autorkę, co świadczyłoby przypuszczalnie, iż pióro nie jest jej rzeczą: przeciwnie redaktorka *Revue nouvelle* słynie z uprzejmości iście francuskiej: opowiadają o niej wiele szlachetnych czynów, trafnych postąpień i słów dowcipnych. Umie zjednać serca tych, którzy mają sposobność się do niej zbliżyć; mała wartość jej literackich utworów nie obniża jej wartości towarzyskiej, i roli, jaką w społeczeństwie odgrywa. Rola ta jest jednak zbyt krótką, byśmy mogli ją dzisiaj osądzić sprawiedliwie, i naznaczyć jej miejsce właściwe pomiędzy wyjątkowymi istotami, które wbrew wychowaniu, jakie odbierają kobiety francuskie, potrafiły zabłysnąć na horyzoncie umysłowym.

Walerya Marrené.

MYŚL BANKU HIPOTECZNEGO.

(skreślił Józef Kirsztot, Warszawa 1881 roku).

Historia banku hipotecznego u nas — przedstawia niezmiernie wiele ciekawych danych. Od lat kilkunastu tuła się ten projekt po różnych umysłach i gazetach. Setki mózgów wysilało się na zaopatrzenie go we wszelkie zalety praktyczne. Wińczono już nawet kilku jego twórców, budując na podwalinach myśli — gmachy przyszłego szczęścia naszego przemysłu i handlu. Patenowane te odkrycia wprawiały w podziw najbardziej zatwardziały pesymistów. Ogół zachęcał do wytrwałości projektodawców, projektodawcy — ogół, a

finansisci znów jednych i drugich. Okadzano narodowy rozum, rozdawano korony, a projekta?... Czy one nas przerosły, czy też myśmy do nich nie dorosli, dosyć że z tego burzliwego morza mamy dzisiaj tylko kilka desek, które troskliwie zebrał w swej nowej pracy, p. t. *Myśl banku hipotecznego*, pan Józef Kirsztot.

Najprzód tedy — „Agraria.” „Myśl urodziła się w 1866 r. Był to dar danajczyków. Ten dawny przedmiot naszych zapalów stał się później przedmiotem naszych antypatyj. Zaczątki jej nieco tajemnicze; przeglądają jednak z poza obszernych poł jej ustawy, która miała tuczyć „Agraryę” na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby.

Miał to być bank hipoteczny, wekslarzski, ubezpieczeniowy, pośredniczący, melioracyjny, a nadewszystko parcelacyjny. Bank miał na celu zakupno majątków — celem ich sprzedaży, parcelacji, kolonizacji... Założycielami byli przeważnie Niemcy. To więcej, niż wymowne. Nic dziwnego, że roślina ta nie przyjęła się na naszym gruncie. Projektodawcy „Agraryi” według p. R. grzeszyli tylko nieznajomością naszych stosunków politycznych, prawnych, społecznych i ekonomicznych.

Potem następuje warszawski bank ziemski. Przyszedł on zresztą na świat z talizmanem Wschodu. Była to mniej lub więcej udatna kopia rosyjskich banków ziemskich. Zmarł on jednak na galopujące suchoty, nie pozostawiając nam w broszurze p. R. nawet nazwisk swoich rodziców.

Warszawski Bank Hipoteczny! Projekt to czysto krajowy! Zacny, jak umysły jego twórców — pozostawiał tylko jedno do życzenia, t. j. sankcję władzy prawodawczej.

P. R. nie wspomina, czy projekt ten został uduszony, czy też zmarł naturalną śmiercią. A szkoda... Przyjmijmy go zresztą, jako niewiadomego z pobytu, i poświęćmy mu kilkanaście wierszy.

W zakres działania banku wchodzić miało:

1-o) udzielanie pożyczek na nieruchomości w miastach Król. Polskiego;

2-o) podejmowanie się parcelacji majątków ziemskich i udzielanie na nie pożyczki;

3-o) emisja obligacji hipotecznych na okaziciela;

4-o) udzielanie pożyczek na termin 9-cio miesięczny, na zastaw papierów publicznych.

Projektowany sposób udzielania pożyczek miejskich był nader praktycznym. Oto każde miasto, w którym przynajmniej 50 właścicieli nieruchomości, ubezpieczonych od ognia na sumę co najmniej 50,000 rs. pragnie otrzymać pożyczki, zawiązuje osobne stowarzyszenie; na wypadek zaś, gdyby przymusowa przez bank sprzedaż nieruchomości nie pokryła udzielonej pożyczki, wszyscy *in gremio* członkowie odpowiadają za... brakującą sumę. „I wilk syty i owca cała.” Bank kroczy na pewno; stowarzyszeni zbyt wielkich obaw nie mają, a w dodatku ileżby to dobrodziejstw spłynęło na prowincję!

Autor przechodzi do projektów, jakie się wyległy w łonie Tow. Kred. Ziem. Było ich trzy. Jeden z nich ma na celu obdarzenie ziemian pożyczkami melioracyjnymi na ulepszenia w gospodarstwie rolnem. Według p. K. projekt ten przyniósłby wiele dobrego tym, którzyby się bez niego... doskonale obejść mogli. Pożyczki miały być lokowane bezpośrednio po pożyczce Tow. Kred. Ziem. A wiadomo powszechnie, jak mało dóbr w Królestwie mogłoby przy danych warunkach z tego dobrodziejstwa korzystać. Ci znów, którzy po pożyczce Tow. Kred. Ziem. nie mają na hipotece długów prywatnych, mają znów prawdopodobnie własne kapitały.

Drugi projekt opiewał o wydawaniu pożyczek na hipoteke okręgowe. Maximum tej pożyczki — 600 rs. Dobrodziejstwa z tego

źródła miały spłynąć i na uwłaszczone osady włościańskie.

Najciekawszą w tej wiaźance projektów jest bezwątpienia myśl założenia przy Tow. Kred. Ziem.: — „Tow. Kred. Miast Król. Polskiego.

Towarzystwo to powołaniem zostaje do życia, jeżeli do niego wejdzie przynajmniej 5 miast gubernialnych, a w każdym z nich ze 30 właścicieli, przedstawiających wartość miliona rubli. Pożyczka umarza się w przeciągu lat 27. Odpowiedzialność solidarną stowarzyszonych zastrzeżono w ustawie, ale zarazem zawarunkowano pewnem ustąpieniem.

Nader ważnym jest między innymi artykuł, stanowiący, aby miasto, które zamierza przystąpić do towarzystwa, zorganizowało poprzednio u siebie straż ogniową.

Autor, sympatyzując z projektami Tow. Kred. Ziem., jest jednak przeciwnym temu, by one ujrzały światło dzienne w łonie Towarzystwa, a co najważniejsza — rozwijały się pod jego egidą. Posprzeczać się musimy w tem miejscu z p. K. Sądziwym, przeciwnie, że dla wielu względów byłaby do życzenia ścisła koligacja między tymi noworodkami, a poważną instytucją Tow. Kred. Ziem. Na podobnym pniu wyrosłyby na pewno przepyszne konary. Pamiętać przytem trzeba:

1) że pod opieką starej instytucji — nowa stawałaby pewniejsze kroki;

2) że Tow. Kred. Ziemskie potężnieje z każdą chwilą, a doświadczenie nauczyło nas, że bogactwa, przekraczając pewną granicę, giną bezużytecznie dla krajowego dobrobytu;

3) że pod opiekunictwem skrzydłami Towarzystwa nowe instytucje zyskałyby od razu zaufanie i... powodzenie;

4) że potomek zasłużonej instytucji kredytowej oparłaby się stanowczo na zasadzie wzajemności — tak dobrej i ważnej dla nas — i to nie tylko pod względem skarbowym;

5) że nowa instytucja nie wykołubiłaby bynajmniej Tow. Kred. Ziem. z jego zwykłego toru.

Opieka ta zresztą byłaby tylko w pierwszej dobie materialną — później stałaby się czysto duchową, polegającą na wzajemnej sympatii i wspólnych zasadach. Akcje byłyby notowane oddzielnie, a nawet administrację można by wytworzyć z właścicieli domów, z pewną przymieszką żywiołu ziemianńskiego. Jeżeli to było korzystnem dla kredytu miast, toć już niewątpliwie dobrem jest dla kredytu melioracyjnego. Jakież towarzystwo prywatne zdoła skontrolować, czy pożyczka obrócona została rzeczywiście na melioracje? Setki agentów nie podołałyby w tym razie zadaniu, które złatwością rozwiążą komitety obywatelskie na podstawie wzajemności. Niech tylko Tow. Kred. Ziem. wypłaca pożyczki — oddzielnymi obligacjami melioracyjnymi, których kurs będzie zależał od sumienności dłużników obywateli, — a kontroli najcisłej dopełniać będą sami obywatele.

Pan K. opiera głównie swoje zarzuty na tem, że instytucje, oparte na wzajemności, działają zbyt ostrożnie, poświęcając dla bezpieczeństwa sam kredyt.

Nie zawsze tak bywa: świadczy o tem dość wymownie działalność Tow. Kred. m. Warszawy. Fakt, że Tow. Kred. Ziemskie przeznaczyło początkowo tylko 3 miliony rubli na pożyczki melioracyjne — nie osłabia bynajmniej naszej myśli. Wobec łatwości, z jaką przyszedłoby później rozszerzyć ten kapitał, moglibyśmy tylko pochwalić, że towarzystwo zamiast od razu skakać — uczy się wprzód dobrze chodzić.

Będąc w zasadzie za tem, żeby nowe instytucje powstały w łonie Tow. Kred.

Ziem., w praktyce jednak rzec się musimy tego dobrodziejstwa.

Dlaczego? Oto, że wobec pewnych niezależnych okoliczności, urzeczywistnienie tego projektu przewlokłoby się do nieskończoności. Instytucja prywatna może praktyczniej popierać swe interesa, i prawdopodobnie zdoła zakończyć swój żywot, — zanim czysto obywatelska przejdzie ze sfery projektów w dziedzinę rzeczywistości.

Sz. autor zastrzega, że nie kreśli w swej rozprawie projektu banku hipotecznego, ale daje tylko kilka uogólnień na podstawie prac poprzedników. Rzeczywiście jednak spotykamy na kilku stronnicach jasno określony — i to nawet wyrozumowany plan banku hipotecznego. Główną jego podstawą winno być, według autora, połączenie w jedno kredytu dla miast, melioracji i przemysłu. Oto jakie względy za tem przemawiają:

1-o) wobec nawału u nas różnych kredytowych papierów — tylko obligacje tak potężnego towarzystwa zdołają się przez nie skutecznie na giełdy przecisnąć;

2-o) połączenie różnorodnych czynności w jednej instytucji przedstawia tę korzyść, iż ewentualne straty dotknąć mogą jedną jej gałąź, nie zaś wszystkie jednocześnie;

3-o) oszczędności w administracji.

Na mnie specjalnie robi ta kombinacja wrażenie zaprzęgu różnych właściwości koni. Jak meklemburczyk nie może iść w parze z arabem, tak trudno sprowadzić przymysł z rolnictwem — pod jedną formę kredytu. Harmonia — będzie tu tylko pozorna, i nader dla obu stron kosztowna:

1-o) Fabryki ulegają ostrym przesileniom — rolnictwo — nie.

2-o) Kredyt fabryczny podlega różnym fluktuacjom, — rolniczy podlega mniej więcej jednym normom. Stąd wynika, że chwilowy kryzys fabryczny, pociągający za sobą spadek akcji towarzystwa, odbije się żałośnie na losach rolnictwa.

3-o) W chwilach natomiast rozwoju przemysłu — kiedy akcje towarzystwa byłyby nader poszukiwane — oziębła zapalać będzie znów myśl, że akcje reprezentują także interesa rolnicze. Ta miłość z musu nie wyszłaby chyba na dobre żadnemu z małżonków.

Myśl p. K. wydałaby się nam jednak nader trafną — w zastosowaniu do połączenia w jedno pożyczek melioracyjnych z pożyczkami na nieruchomości miast prowincjonalnych. Piszemy się w tem miejscu zupełnie na przedstawione przez p. K. wymowne dowody korzyści materialnych, jakiego Bank przynosił akcyonaryuszom. Autor wprowadza je na podstawie metody porównawczej, wzięwszy za tło do porównań Tow. Kred. m. Warszawy i rosyjskie banki ziemskie.

Tym więc sposobem naszym finansistom przedstawiają się do zdobycia dwa złote runa: bank przemysłowy i hipoteczno-melioracyjny. Niestety, nie zawsze pewność powodzenia zachęca do wyprawy. Nasi finansisci mają swoją logikę i... obroty giełdowe. Czekajmy!

Broszurkę p. K. polecamy szczerze ogółowi. W powodzi zalewających nas projektów i artykułów ekonomicznych — przyjemnie odetchnąć przy pracy na seryo. Autor nie podziela widocznie zdania, bardzo u nas popularnego, że aby zostać ekonomistą, dość jest... urodzić się; — bo do każdej swojej pracy wrzuca poważną dozę nauki i praktycznych studyów.

Jan Finkelhaus.

Badania dziejowe.

Wiadomość historyczna o rodzie Świnków oraz rodowód pochodzący od nich rodu Zielińskich herbu Świnka, zebrane i wydane przez G. i J. Zielińskich. Część I, od najdawniejszych czasów do roku 1600. Toruń, 1880, 8-ka, str. 239 i siedm tablic. — Juliana Bartoszewicza: *Studia historyczne i literackie*. Tom III, Kraków 1881 roku, 8-ka str. 400.

I.

Wartość opracowań historii pojedynczych rodzin szlacheckich zależy od przedstawienia tej roli, jaką dany szereg jednostek odegrał w sprawach publicznych i od nagromadzenia materiału, stronę obyczajową mającego na względzie. Materiału obyczajowego przeszłość każdej rodziny może dostarczyć, i dlatego monografie tego rodzaju uwzględnić go winny koniecznie; nikt zaś pretensji rościć nie może, że pomina sprawy natury ogólnej, skoro dom dany udziału w nich nie brał. Bogactwem zaimponuje monografia, jeżeli w odpowiedni sposób oba względy łączy; uboższą, lecz zawsze dużej wartości będzie i taka, która z nowej strony obyczaje i stosunki domowe potrafi przedstawić.

Rodzina Świnków-Zielińskich do średnich liczy się domów, i z wyjątkiem Jakóba II arcybiskupa gnieźnieńskiego do r. 1600 nie wydała wybitnych stanowiskiem jednostek. Ponieważ autorowie nie nowego o sławnym arcybiskupie nie byli w stanie powiedzieć, a reszta Świnków-Zielińskich w domowym pracowała i gasła zaciśzu, — przeto jedynie materiału do stosunków obyczajów mamy prawo od zatytułowanej monografii wymagać. Sami wydawcy przyznając, że ich rodzina „nie należała do arystokratycznych“ i *czasami* tylko przez posługi dla rzeczypospolitej wybitniejszą zajmowała pozycję, — obiecują jedynie „odtworzyć wierny obraz życia szlacheckiego w różnych epokach kilkunastu po sobie następujących pokoleń.“

Owego właśnie obrazu szukaliśmy na próżno. Że Piotr spłodził Szczęsnego, Jądwigę, Stanisława i Annę, a Szczesny spłodził Andrzeja, Piotra i Jana; Jan Władysława, a Stanisław Dorotę; że Paweł miał Zieloną i Cierpigórz, a brat jego Gościńską, — szczegółów podobne — ciekawe niewątpliwie dla Świnków-Zielińskich — nie mogą służyć za blade nawet do odtworzenia rzeczoności obrazu farby, i nauce historii nie przydadzą się na nic. Gdyby szanowni autorowie baczniejszą zwrócili uwagę na gospodarskie przodków rachunki, na ich życie domowo-siędzące i owe drobniaki, z których duchową fizjonomię człowieka można odtworzyć; gdyby taki przedstawili materiał, jaki zgromadził Przylecki w pamiętnikach o Koniecpolskich, — mielibyśmy, dzięki ich pracy, bogate do obrazu życia szlacheckiego farby, których i przy kreśleniu szerszych widoków dziejopis użyłby chętnie. Jak mało pp. Zielińscy uwzględniali charakterystykę ludzi, najlepszym dowodem dziwne podobieństwo, a raczej jednakowa bezbarwność ich przodków, bez względu na czas, w którym kwitnęli i na różność zajmowanej przez nich pozycji. Tak np. żyjący na schyłku XVI wieku, wojewoda płocki, Grzegorz nie różni się od ojca, sędziego Feliksa, od dziada Piotra, od przodków z XV i z XIV stulecia. Wszyscy w jednakowy mniej więcej sposób robią majątki i pomiędzy potomstwo je dzielą; procesują i do grobów się kładą; — Grzegorz śmiało przeniesie można w stulecie czternaste, Ludwika i Mikołaja w szesnaste, chociaż daty dowodzą, że żyli w piętnastym. Dla osiągnięcia podobnych rezultatów pp. Zielińscy dużo bardzo ponieśli kosztów i nie mało podjęli móżolów; bo oprócz źródeł drukowanych czerpali z archiwów krajowych i obcych.

Drugą połowę książki zajmują „dowody,” rodzaj familijnego dyplomatarjusza, do którego autorowie wagę przywiązują niemałą. Niewątpliwie znaleźć w nim można niejedną szczegół ciekawy. Uderza np. chwiejność terminologii, dotyczącej podziału Mazowsza: raz Zawkrze pisze się *terra* (str. 120 i 169), a Szeńskie względem niego *districtus* (str. 169); w innym znów miejscu (str. 124) toż samo Zawkrze względem Płockiego zowią *districtus*, a Płockie również i *districtus* i *terra*. Do staropolskiego słownika wyrazów prawnych również można coś uszczknąć (np. *przewianować*, *perdotawit*) lub chwiejność terminologii zaznaczyć (np. posag-*dotulitium*; wiano raz *dotulitium*, drugi raz *transdotulitium*), chociaż niepoprawność w wydaniu tekstu—do zrozumienia wyrazów i rzeczy przeszkodą jest duża. Widocznie zamiast *Przisothki* (str. 148) czytać należy *przysiołki*; w dokumencie XXXII i *metez* i *podnowić* zrozumieć trudno. Zresztą, w stosunku do liczby (jest ich 58, str. 117—198) dokumenty korzyści przynoszą mało, gdyż pp. Zielińscy, familijne względy mając na celu, przygodnie tylko to i owo rzucili nauce.

Niewątpliwa do opracowania historii Świnków-Zielińskich pobudką była próżność rodowa, opłacona mozołami i groszem. Szersze pobudki, przy tych samych mozołach i groszach, wydaćby mogły owoc zaniejszy i trwalszy.

II.

W trzecim tomie studyów historycznych i literackich Bartoszewicza znajdujemy, z rękopismu ogłoszoną, obszerną rozprawę p. t. *Warszawa i Kraków*; pierwszy raz również wydane *Prawo o elekcyi*, i kilka robót drukowanych za życia autora lub też — jak *Kniaź i książę* — po śmierci. Rozprawa *Warszawa i Kraków*, napisana — jak objaśnia wydawca — na konkurs krakowskiego towarzystwa przyjaciół nauk, — spostrzeżeń trafnych o znaczeniu stolicy zawiera dużo, chociaż nie brak w niej — jak zwykłe u Bartoszewicza — paradoksów i komunałów, z przedmiotem nie będących w związku. Autor nie pisał kroniki stolicy, lecz zamierzył wykazać ich wpływ ogólny na Polskę i ich stanowisko dziejowe; mniej się też troszczył o fakta, a poglądom folę dał większą. *Prawo o elekcyi*, mające być „ustępem z dziejów cywilizacji narodu,” jest niedokończoną pracą ułomkiem, zawierającym, na listach Commendoniego opartą, opowieść o tej sprawie na sejmie unii, oraz według Orzelskiego i Hejdenstjerna — dzieje zjazdów szlacheckich po śmierci Zygmunta Augusta. Nie uwzględnił autor pamiętników Choinin'a, jeszcze w r. 1818 w tłumaczeniu wydanych w Wilnie; nie mógł znać ogłoszonych w r. 1869 dzienników sejmowych z r. 1555 i 1558, o sprawie elekcyi mówiących szeroko, i dlatego ów ustęp wartości niema.

Na źródłach ruskich oparta rozprawka *Kniaź i książę* kwestyonuje pewność Czaratoryjskich, Czetwertyńskich, Mirskich, Sanguszków i t. p., jakoby ich rody szły od panujących książąt na Litwie i Rusi; niemało falsyfikatów i przywłaszczeń w tytułach przytacza, i ciekawe podaje szczegóły o książkach Sokolskich, Nieświeckich, Rowieńskich, Tołoczynskich, Sienskich, Nosikach, Kapustach, Nurzewiczach, Bułychach, Konoplach, Połubińskich, Hoszowskich, Odyniewiczach, Prunskich, Ogińskich, Pużynach, Trubeckich, Szujskich, Sołomereckich, Masalskich i t. p., którzy taką rolę odgrywali na Rusi, jak drobna szlachta około Nura, Różana i Łomży.

Niema wartości krótki, na Kochowskim oparty, artykuł p. t. *Szwedzi w Warszawie 1655.*, a bardziej jeszcze *Bitwa pod Beresteczkiem*, opowiedziana szczegółowiej i z większym talentem przez dr. Kubalę; blahostką jest *Wawrzyniec Słupski Bandura*, rzekomy kandydat do korony polskiej

po śmierci Zygmunta Augusta; a *Jan Stanisław Jabłonowski, wojewoda ruski* sprawozdawczy ma przeważnie charakter, i nie przedstawia należycie wartości pisemka *Skrupuł bez skrupułu*, które w literaturze politycznej XVIII wieku znaczenie posiada duże, i oceny oczekuje dotychczas. *Kiega protokółów francuskańskich prowincji ruskiej od r. 1625 — 1650* drobiazgowy i dość ważny do stosunków kościelnych zawiera materyał; w artykule: *Co znaczyła i gdzie była Ukraina* — zbija Bartoszewicz Czackiego wywód Ukrainy od Ukrów, i słusznie dowodzi, że „Ukraina była wszędzie, gdzie była granica;” w innym p. t. *Czy Przemysław Lanckoroński był hetmanem kozaczyzny?* — odpowiada przecząco; w rozprawie zaś *Anna z Sapiechów Jabłonowska* szeroko pisze o sławnej z czasów Stanisława Augusta kobiecie, znanej z mozołów około polepszenia stanu chłopów ówczesnych, z rozlicznych reform w Siemiatyczach i Kocku, z dzieł licznych i głośnego gabinetu historii naturalnej, zakupionego po śmierci właścicielki przez cesarza Aleksandra I dla akademii moskiewskiej.

Rozprawka: *Mazowsze — mazury, czem się od innych krajów i mieszkańców polskich odznaczały* — za mało jest etnograficzną, żeby odpowiedzieć zadaniu; dużo też paradoksów i niezem nieuzasadnionych twierdzeń zawiera. Słusznie Bartoszewicz zaznacza doniosłość kolonizacji mazurskiej, lecz bezzasadnie twierdzi, że „dojrzałość narodową przedziej przed innemi częściami Polski osiągnęli mazurowie;” że mazur „najprędzej dojrzał do pojęcia całej Polski.” Że mazurowie dojrzałość mieli niewielką i politycznie byli surowi, dowodem ich opóźnienie w wyrobieniu tych instytucji, które od XV już wieku posiadała szlachta koronna; że nie najprędzej do pojęcia całej Polski dojrżeli, — okazuje to ich późne i nie bez oporu nawet połączenie z koroną.

Edytor, p. Kazimierz Bartoszewicz, ukończył zapowiedziane prospektem 10-tomowe wydawnictwo dzieł swego ojca, będące 5-ą lub 6-ą częścią zaszczytnej puścizny. Nie myśląc o kompletnem wydaniu robót sławnego ojca, edytor zamierza jeszcze ogłosić oddzielnie kilka ważniejszych, jak studyum o Annie Jagiellonce, o Aleksandrze Jagiellończyku i życiorysy znakomych osób; ufa, że „poparcie ludzi dobrej woli i dziennikarstwa” dozwoli mu przedsięwzięcia dokonać, i „o poparcie owo uprasza.”

Wi. Smoleński.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

O przyszłości religijnej przez Napoleona Węgleskiego. Kraków, 1881 r.

Rojenia metafizyczne, mrzonki mistycyzmu, i wszelkie sennie kreacje ducha, z każdym dniem coraz większa w naszym piśmiennictwie stają się rzadkością. Społeczeństwo, leczone długo z przywidzeń ciężkimi próbami, uwalnia się z pod wszechwładztwa brzmiających haseł, a wyznawcy wiary w ślepe o różnych mianach bożyszcza — z wyjątkiem gromadki ultramontañskiej — poprzestają już zazwyczaj na odprawianiu ceremonij w swych prywatnych katakumbach. Pozytywizm i pokrewne mu teorie dochodzą do widocznej nad umysłami przewagi. Szkoda jednak, iż błędne ogniki idealistyczne kryją się trwożliwie przed światłem dziennym: kto ma przekonania, powinien je ogłaszać, walczyć w ich obronie: bój — to ojciec postępu, a rzetelna teozofia w starciu z bigoterią i klerykalizmem — mogłaby obecnie dzielniej niż kiedykolwiek poprzec sprawę rozpowszechnienia zdrowych idei filozoficznych. To też nietylko bez wstępu, ale

nawet z pewnem współczuciem witamy „białego kruka” pod postacią rozprawy: *O przyszłości religijnej*.

„Wszędzie i we wszystkim (powiada autor) szukamy lepszosci.” Różne są jednak sposoby jej pojmosowania, różne tory prowadzące do celu. Nie trudno więc o błędy: „jednych na mylną drogę sprowadza krótkowidzący fanatyzm, u innych chłodne rozumowanie zubożnia wiarę w prawdy moralnego piękna i pochlebia samolubstwu. Owa lepszosc tak pożądana istnieje przeto (!) w postępie religijnych naszych przekonań.” W słowach powyższych widać już główny zarys planu stawianej przez autora wspaniałej świątyni na lodzie. Występując, jako rzekomy reformator idei metafizyczno-religijnych, opiera się on głównie na Apokalipsie i przypisywanych Janowi Apostołowi trzech listach; cytuje też kilkakrotnie S. Pawła. Źródłem wiedzy jest dla niego „Boże świadectwo,” które znajduje swe odzwierciedlenie w „pełni umysłowych (sic!) ducha przymiotów.”

Deizm, panteizm, empiryzm, pozytywizm należą zdaniem p. Węgleskiego do zbroczeń duchowych; systemy te wszakże, jakkolwiek błędne, bo jednostronne — nie przechodzą bez pożytku dla ludzkości... Mamy więc przed sobą marzyciela eklektyka. Filozofia doświadczalna cieszy się jego teoretycznym szacunkiem; nawet swą metodę, polegającą niby „na kolejnym rozbiorze i składni,” nazywa pozytywną, a gardząc wszelkim systemem, mianuje kierunek, któremu służy — „pozytywizm religijny.” Przypatrzmy się, w jaki sposób zdąża nasz teozof do odkrycia prawdy: „Bóg jest ogniskiem miłości. Takie pojęcie stara się wszczepić w wyznawców chrystianizmu pierwszy list powszechny Jana. A skoro się bliżej zastanawiam nad przymiotami ducha mojego, głos poczuć piękna przekonywa mnie o tej prawdzie ewangelicznej nauki. Głos ten pospolu z rozwagą przewodniczy postępowi wiedzy człowieka i społeczeństwa. Wiedzę wzbogaca rozwaga, a natchnienie, rozjawiające się w łonie duszy obznajmia nas z akordami wszelakiej prawdy.” „Cudowna logika!”, „Głos poczuć piękna,” dość zagadkowa siła umysłu, sprawdza definicyę bóstwa, podaną przez twórcę Apokalipsy, a służąc za główny świecznik postępu, „obznajmia z akordami wszelkiej prawdy,” podczas gdy „wiedzę wzbogaca rozwaga.” Ale nie jest to bynajmniej jedyne miejsce w książce p. Węgleskiego. Ma on właściwą sobie logikę: metoda badania, którą nazywa pozytywną, polega prawie zawsze na... kręceniu się w kołko. Oto jeden jeszcze przykład: „skoro żywot jest darem bożym, dar ten jest wieczny, bezpoczątkowy, jak jego dawca; a jeśli różne systemy uznają bezpoczątkowość atomów materyalnych, tem śmiej mogą wierzyć w bezpoczątkowość osobników bytu duchowego (12).” Kalektwo logiczne tej argumentacji samo o sobie świadczy — zbytecznem by było je komentować. Bądźco bądź, poglądy p. W. noszą na sobie piętno swobodnego marzenia. Bóg, świat, człowiek — nie mają początku ni końca; materya w swym zarodku jest niemal duchową, duch — subtelnością materyalną (sic!); historia wszechświata i ludzkości przedstawia nieskończony łańcuch przeobrażeń; a nad całym beżmiarem przeszłego, teraźniejszego i przyszłego bytu panuje Bóg, uosobiona miłość i mądrość. Autor występuje tedy przed czytelnikiem w charakterze teozofa-optimisty. Poglądy jego na świat, jakkolwiek pozbawione często ścisłości logicznej, wieją ku nam techniem tak pogodnym i wiosnianem, dysząc czasem tak niekłamana poezją indywidualnej prawdy, że bezwiednie przyklaskujemy młodzieńczej miłości i silnej wierze. Pomimo niezaprzeczonej, gruntownej religijności dążeń, autor nie odpowie podobno wymaganiom prawomysłnych; utrzymuje on bowiem: że „bezmyślna wiara nie uma-

enia moralności: „że „człowiek daremnie w modłach pokornych błaga o przyszłość—Bóg nie zna pochlebstw, ofiar nie żąda;“ radzi „wyswobodzić pobożność z trwożliwej pokory, lękającej się gniewu bożego;“ domaga się wreszcie, aby bez wszelkich skrupułów „objaśniano literę pisma.“ Łatwo się domyślić, że teherzeze zostaną surowo zgromione w prawowiernym Krakowie.

Dodam w końcu, iż mylili się ciężko ten, ktoby p. Węgleńskiego uważał za nowatora, a jego rozprawkę za rzecz ściśle oryginalną. Wzorem bezpośrednim był tu prawdopodobnie Józef Gołuchowski lub Fryderyk Schelling. Wiele nawet punktów, jak np. porównanie natury i ducha do dwu odpowiadających sobie nawzajem biegunów, uznanie Jana ewangelisty za przedstawiciela przyszłości w kościele, nadanie mglistym teoriom miana *pozytywizmu* — przemawia za tem, aby p. Węgleńskiego nazwać wprost Szelingistą, odtwarzającym pomysły filozofa niemieckiego — przeważnie z okresu mistycznych jego dążeń.

Rozprawa tedy p. Węgleńskiego jest spóźnionem na drodze postępu zjawiskiem. Szkody, jak sądzę, społeczeństwu swemu nie przyniesie; optymizm jej wszakże pogodny nie zagoi ran, nie pocieszy wątpiących, bo podaje leki z innej doby, bo się w błękitie ogólników zasklepia... W każdym razie wolimy takie swobodne bujanie podobłoczne, niż huki „zdezolowanych grzmotów“ klerykalizmu...

Forma rozprawki jest podobnie jak treść — chaotyczna; język miejscami chromieje. Na końcu broszury umieszczono dwa niby — poematy: pierwszy ma za główkę „Wieczność;“ drugi — monarsze słowo „Ja.“ Są one wiernem streszczeniem książki, a uzupełniają się nawzajem tak dalece, że nazwałby je można sobowtórami. Oto wyjątek z nierymowanego wiersza p. t. „Ja.“

„Nie — ja nie jestem prochem znikomym,
Dla mnie żywota braknąć nie może
W całej wieczności.
Skoro jestem — byłem — będę —
Bo takim jest żywot w słowie... (sic!)“

Takiego przedrzeźniania słów Kartezjuszowych („Myślę — więc jestem“ — „Jestem — byłem, a więc będę.“) natchnionego może głęboką wiarą, ani rozbiierać, ani ośmieszać nie myślę — samo się ono pod własnym ciężarem obali. Powiem tylko, że autor wstępując w strzemię Krasńskiego, nie odznacza się ani bogatą fantazją, ani zdolnością wierszowania, ale zdradza niepospolitą głębinę uczucia i faustowską ruchliwość myśli.

Poezya w wychowaniu przez d-ra Piotra Chmielowskiego. Wydawnictwo E. Orzeszkowej. Wilno 1881 r.

Praca, którą oceniać mamy, znana warszawianom w żywej formie odczytu, jest ze względu na swą budowę prawidłowym syllogizmem. Składa się ona z dwu nierównych części: w pierwszej, stanowiącej myślową podwalinę wywodów, rozstrzyga autor syntetycznie kwestję stosunku poezji do życia praktycznego; w drugiej przechodzi na grunt wychowawczy, i podaje cenne dla ogółu pedagogów wskazówki na nieprzeoraniem dotąd polu stopniowego wprowadzania młodzieży w dziedzinę najpopularniejszej ze sztuk pięknych.

W pierwszych dwu rozdziałach swej broszury odtworzył dr. Chmielowski wymowną antytezę, jaka zachodzi między okresem wszechwładnego królowania „dzieciwicy słońca“, a następną chwilą, gdy „kochanka ducha“ uległa kłatwie zapomnienia i wzgardy. Najbliższe zagadnienie i właściwy autorowi zwyczaj ogarniania wzrokiem krytycznym rozległego horyzontu — nastąpiły na samym wstępie sposobność wypowiedzenia uwagi o tem, jak wszelka nowa idea, a więc i nowożytny roman-

tyzm — późny u nas, w stosunku do dalszego zachodu, znajduje oddźwięk. „Przed laty *stu* mniej więcej (mówi p. Chm.) w Europie bardziej na zachód położonej, a przed *półwiekiem* w kraju naszym poezya cieszyła się uznaniem swego wszechwładztwa w krainie ducha.“ Trudno doprawdy zaprzeczyć, że „we wszystkich sprostować się u nas daje wielki odpór;“ ale co do romantyzmu, opóźniliśmy się o półwieku jedynie w stosunku do Niemiec; o lat z górą trzydzięci — w stosunku do Anglii; *wyprzedziliśmy zaś o lat kilka Francję...* Szkoda, że autor nie zaakcentował tego szczegółu. Nawias w ogóle cały, poświęcony danemu przedmiotowi, jakkolwiek w zasadzie słuszny, wygląda blade, i nie posiada dostatecznej siły argumentacyjnej. Za zbytęcną też uważam wycieczkę przeciw zwolennikom żółwiego postępu — tembardziej, że okres, stanowiący rdzeń i koronę polemiki, podjętej w obronie żywszego ruchu, nie odznacza się pożądaną jasnością: „Prawda (mówi autor), że czasami istotnie można na tem stanowisku (tj. na stanowisku zacofańca) coś zyskać; *ale* nietylko, że strąca nas ono w położenie maruderów postępu, a nie jego dzielnych i rzeczywistych bojowników; *lecz* nadto naraża na los maruderów, którzy niekiedy coś dobrego sobie przywłaszczą, *ale* za to nieraz ciężkie przechodzić muszą tarapaty: bo kto nie zna trudów, nie zna i nagrody.“ Następczą się tu mimowoli pytania: 1) co w istocie zyskuje maruderzy; 2) jaka jest wybitna różnica między *położeniem a losem* maruderów; 3) przez jakie to „tarapaty“ przechodzić muszą; 4) czy wstąpienie do grona „dzielnych i rzeczywistych bojowników“ postępu może mieć co wspólnego ze „strąceniem“ lub degradacją...

Bądź co bądź, trzy pierwsze rozdziały broszury, stanowiące główną część pracy, są bardzo jasnym wyrazem filozoficznych przekonań autora. Poezya przestała być samodzielną władczynią umysłów: tronu w królestwie światła, i większej części intelektualnego terytorium ustąpiła umiejętnościom, przyjęła na siebie kapłańską rolę pocieszycielki, rolę orla, unoszącego trwożliwą na rozdrożach siłę badawczą, w regiony słoneczne. Myliliśmy się, pragnąć za przywodem poezji — „łamać, czego rozum nie łamie;“ mniemana „matka narodów“ okazała się ich macochą, rzekoma „prawda“ — fałszem. Wiele jednostek zmarowało swą potęgę — społeczeństwa zdzieciniały. Były to, jak powiada dr. Chmielowski, „skutki zwiecznej równowagi“ w duchowym jestestwie człowieka. Nastąpiły inne czasy: tłumy, wolne od „gorączki poetycznej“, zapłonęły „gorączką złotą.“ Szala umysłowa przechyliła się na drugą stronę. Zaprowadzenie więc harmonii w dążeniach społecznych wynika z natury rzeczy: niechaj poezya kwitnie, niech nas bawi, pociesza, do trzeźwego czynu zachęca; ale główną przewodniczką naszą we wszystkich dziedzinach życia praktycznego ma być umiejętność... Oto stanowisko, z którego, jak sądzę, zapatruje się autor na „poezję w wychowaniu.“ „Równomierne kształcenie wszystkich usposobień i uzdolnień wychowawca“ uważa p. Chm., zgodnie z zasadą dzisiejszej pedagogiki, za drogę, prowadzącą do osiągnięcia najwyższego szczytu w sztuce kształcenia charakterów t. j. „samodzielnosci w myślach, uczuciach i postępkach...“ Poezya więc powinna, obok innych czynników, znaleźć miejsce w wychowaniu — takie jednak, aby jej uczestnictwo było pomocą, nie zaś szkodą w prowadzeniu dzieła. Przedewszystkiem mając na względzie potrzebę prawidłowego rozwoju uczucia i fantazyi, pomyśleć należy o „stopniowanym kursie czytania poetycznego.“ Ale najsystematyczniej podawane plody poezji nie wpłyną należycie na młode pokolenie, jeśli sami wychowawcy nie przejmą się rzetelnym do niej zapalem, lub jeśli w ocenie efektów życia prakty-

cznego i obrazów z dziedziny artyzmu — jednej wspólnej nie zastosują miary. Poglądowi takiemu godzi się ze stanowiska wychowawczego przyklasnąć. Wątpię jednak czy nadejdzie kiedykolwiek chwila, w której przestaniemy „wysoko cenić w rzeczywistości to, co nas niesmakiem w utworze poetycznym przejmuję,“ lub czy kiedykolwiek zniesiony zostanie przedział między naturą a sztuką, między życiem — a najtrzeźwiejszym choćby, ale natchnionym płodem wyobraźni. Stara zasada Rafaela z Urbino: „Należy przedstawiać rzeczy nie tak, jak je wytwarza natura, *lecz* jak je wytwarzać powinna.“ („Bisogna fare le cose non come le fa la natura etc.“) — nie da się już na gruncie, dzisiejszej estetyki bez wielkich zastrzeżeń i omówień zaszczerpić; ale sądzę, że myśl Wiktora Hugo: „*Nieprzebyta granica oddziela rzeczywistość w sferze sztuki od rzeczywistości przyrodzonej*“ — zasługuje na zupełne uznanie. Jedność między temi dwoma regionami nastąpi wtedy dopiero, gdy albo poezya zejdzie na poziom życia codziennego, albo życie codzienne urosnie do szczytów artyzmu.

To zjawisko jest niemożliwe; tamto byłoby jednoznaczne ze śmiercią poezji. Czyż więc można się żalić, że w ocenie sztuki i rzeczywistości, owych przecinających się nawzajem, dwóch kół o różnym promieniu — istnieją dwie odrębne miary? Sama atmosfera tych krain konieczne między niemi zaprowadza różnice. Piękny wiersz w poezji bardzo się nam podoba; ale w rozmowach powszednich wolimy prozę. Pośród ciasnej stosunkowo areny rzeczywistości uganiamy się szczerze za chlebem, i cenimy owoce swej pracy; ale wierna tych zabiegów fotografia może nas w odświętnym przybytku sztuki niesmakiem przejmować. Zgadnam się wszelako z autorem, że pod jednym względem nie powinno być dwu odrębnych miarek w ocenie poezji i rzeczywistości, mianowicie pod względem zasad filozoficzno-społecznych.

Przy końcu swej pracy wylicza p. Chmielowski i ocenia ze stanowiska wychowawczo-estetycznego te utwory nowszej poezji polskiej, które mogą być dawane do rąk dzieciom od lat 10 do 16, a więc w okresie, poprzedzającym systematyczny wykład historii literatury.

Są to czytywane zazwyczaj po szkołach, najpopularniejsze plody wyobraźni naszych wieszczów i wieszczków z wiosennej, letniej i jesiennej pory romantyzmu. Tu i owdzie spotykamy się niespodzianie z dziwnie optymistycznymi sądami autora. „Wiesław“ np. nosi u niego miano „arcydzieła“ — bez „fałszu“, „przesady“, bez „skazy najmniejszej.“ Prawda, że dużo cech dodatnich dopatrzeć można w tym elementarnym wyrazie romantyzmu polskiego, w tej serdecznej, choć monotonnej, sielance z zarania doby Mickiewiczowskiej; niepodobna zresztą znaleźć w naszej literaturze czystszy pod względem moralnym poematu dla młodzieży; ale czyż wypada bić czołem przed plastyką i prawdą artystyczną „Wiesława?“ Czyż osoby tu występujące mają w sobie dość krwi ludzkiej, czyż zawsze właściwym mówią językiem?... Nie zgodzę się również na to, aby „Marya“ Malczewskiego mogła być uważana za propedeutykę cnót obywatelskich, za poemat przygotowujący młodzież do spełnienia poważnych w życiu obowiązków. Posępny koloryt poematu, idea bajronistycznego fatalizmu, która każdy niemal wiersz powieści przenika, po jednej stronie — kat bez wyraźnych rysów (Wojewoda), po drugiej blade, kirem żalobnym przślonione ofary, styl wreszcie, pelen ciemnych zwrotów i subtelnych przenośni — wszystko to razem wzięte nie stanowi bynajmniej książki, któraby pod jakimkolwiek względem

1) „Une limite infranchissable sépare la réalité selon l'art de la réalité selon la nature.“

zasługiwała na nazwę ewangelii wychowawczej. Jedynie podobno odpowiednim dla młodzieży od lat 10 do 16, epizodem większym w Maryi, jest opis bitwy z tatarami. Całość poematu, odpowiednio objaśniona, pod względem etycznym szkody może wychowawcowi nie wyrządzi, ale też i pożytku nie przyniesie.

Na tem kończymy przegląd broszury. Zamyka ona w sobie trzeźwy, zgodny z ostatnimi wymaganiami nauki, choć nazbyt ogólnikowy a miejscami niejasny — rozbiór stosunku dzieł fantazji do życia praktycznego i sztuki wychowania: broni więc praw umiejętności przed uroszczeniami „królowej sztuk pięknych;“ praw poezji przed „zmysłem kupców;“ podnosi żywotny w świecie szkolnym, a nieurzęczeniowi dotąd projekt ułożenia biblioteki poetycznej dla młodzieży, słowem zasługuje na to, aby ją pomieszczono w księżnicy rozumnych ojców, matek i pedagogów.

A. G. Bem.

LIBERUM VETO.

Smutne położenie przeciwników p. Donato. Odkrycie nieznanego specjalistów. — Nasze ogólne zahypnotyzowanie. Poszukiwanie prasy arystokratycznej przez sprawozdawcę *Biblioteki Warszawskiej*. — *Pamiętnik Fizyograficzny*. — Sąd jednostronny. — Figiel Tow. Kred. Ziemskiego. — Kongres literacki. — Pytanie do odpowiedzi z powodu *Króla reporterów*. — Szczególny sposób wykładu buchalterii w pewnej szkole żeńskiej. Róża dla ks. Szyszkowskiego.

Dreszcz mnie przechodzi, gdy myślę o... „naukowych“ pogromcach p. Donato. Ostatecznie, co ci biedni ludzie mają z sobą teraz zrobić; do ich niedoli brak tylko, żeby, poddawszy się doświadczeniu w saliratuszowej, własnym snem stwierdzili słuszność swych zarzutów. Bo ostatecznie p. Donato usypia publicznie już nie tylko p. Lucyllę, ale pp. A. B. C. D. E. i t. d., którzy na estradzie skaczą, plują, śpiewają, tęteją, słowem robią wszystko, co magnetyzer im każe. Naturalnie wobec tych dowodów niewiara, oparta na przypuszczeniu zmywu p. Donato z p. Lucyllą i na krytykowaniu punktów ciężkości tej ostatniej, oraz na świadectwie Mucjusza Scevoli, musi zamilknąć. Do mnie przynajmniej szan. oponenci nie powinni mieć żadnej pretensyi. Od początku radziłem im, ażeby zamiast poprzestawać na binoklach, użyli narzędzi ścisłych, i naśladując dra Gepnera poddali p. Lucyllę umiejętnym doświadczeniom. Bez tych środków nie pomoże uparta podejrliwość, że i medya z publiczności brane nie znajdują się w stanie hypnotyzmu, gdyż ostatecznie i na to brak eksperymentalnego dowodu. Wobec binoklowego badania naszych specjalistów, dziwić się tylko można, że p. Donato, któremu ona nie grozi żadnem „zdemaskowaniem;“ nie próbuje istotnie sztuk, od którychby nam włosy na głowie powstały. Skoro nie sprawdzono doświadczalnie stanu p. Lucylli, któżby mu przeszkodził namówić ją, ażeby p. Wolbergowi przepowiedziała złą przyszłość w dziedzinie hypnotyzmu?

Jakkolwiek p. Donato w teorii przedstawianych zjawisk nie jest dość silnym, i pomimo wielu listów naukowo zagadki nie rozwiązał, jestem mu wszakże niezmiernie wdzięcznym za pobyt w Warszawie, gdyż odkrył wśród nas, a raczej stworzył bardzo wielu specjalistów, którzy po jego odjeździe zajmą się czem innym, ale w potrzebie oddadzą nam wielkie usługi. Przekonał bowiem nas dowodnie, że są rzeczy, których z samego natchnienia wytłumaczyć nie umiemy, i że wstawszy od referatu nad rozbrykanym koniem u karawanu, nie tak łatwo być równie ścisłym w rozjaśnieniu

objawów hypnotyzmu. Obok tej przestrogi zyskałmy popęd do wstępowania w ślady p. Donato. Według wiadomości jednego z Kuryerów, cała Warszawa namiętnie się hypnotyzuje, tak dalece, że nawet powodzenie p. Morozowicza w uspieniu p. Świękiej może szkodliwie oddziaływać na losy ogródkowej Melpomeny. Uwaga wszakże o skłonności do magnetyzowania się jest spostrzeżeniem dość późnionem. Bo właśnie zahypnotyzowaliśmy się bardzo dawno i tak silnie, że pomimo silnych dmuchań ludzi czuwających nie zdołaliśmy się jeszcze obudzić. Można nam w ciału szpilki wsadzać, stężyć członki, unieruchamiać wzrok, przymuszać do śpiewania lub płakania z rozkazu, a my nietylko nie oprzemy się, ale nawet nie pamiętamy, co z nami zrobiono. Gdy patrzyłem na p. Lucyllę, zasypiającą pod wzrokiem magnetyzera, nieczułą na bolesne podrażnienia, posłuszną biernie jego woli, myślałem sobie: u nas to nie dziwne. Braid, pierwszy apostoł hypnotyzmu, usypiał ludzi przez umieszczenie im na czole błyszczącego przedmiotu, na który przez pewien czas się wpatrywali. Metody tej użyliśmy dawniej z doskonałym aż dotąd skutkiem...

Nie dopowiadam swej myśli całkowicie, bo obawiam się przygany od sprawozdawcy *Biblioteki Warszawskiej*, który rozbierając książkę p. Chmielowskiego, twierdzi, że „różnica między prasą arystokratyczną a demokratyczną naukowo nie da się usprawiedliwić w naszej najnowszej literaturze;“ co znaczy, że u nas arystokratycznej nie ma. Chciałbym być równie przekonany tą uwagą, jak jestem nią zdumiony. Sądzę bowiem, że prasa nasza, z wyjątkiem pięciu lub sześciu pism, jest cała arystokratyczną. Stosunek ten najlepiej wydatnił się po odczytach Spasowicza o Polu. Gdy znakomity badacz nie wybił pokłonów przed szlacheckimi ideałami poety, dziennikarstwo nasze nie mogło mu przebaczyć tego demokratyzmu. A jakichże to „nieobecných“ wezwała *Niva* do prowadzenia narodu? A komuż to według katechizmu stańczykowskiemu Opatrzność dała posłannictwo przewodniczenia mu? Jakiejże to partyi sługą jest *Echo*, *Gazeta Warszawska*, *Wiek*, w Galicyi *Czas*? Jeżeli nawet w kuryeryach, przeznaczonych dla klasy średniej i ludu, opisy pańskich balów i zbytków, przyprawione zachwytem, rozpocierają się na całych stronicach; jeżeli w nich szlacheć, posadzony na ławie oskarżonych, występuje zawsze pod kryptonimem, chociaż idzie o ciężkie roboty, a prostak pod całkowitem nazwiskiem, chociaż zostaje uwolniony; jeżeli w oskarżeniu b. „prasy młodej“ za jeden z grzechów głównych policzono jej nieuszanowanie tradycji w stosunku stanów; jeżeli uwłaszczenie włościan dotąd przeważnie jest ilustrowane ogłaszaniem wypadków kradzieży chłopskiej, przeciwko której obywatel jest bezsilny; jeżeli najdrobniejsza łaska pańska dla kraju wywołuje w naszej prasie uroczyste fanfary — to doprawdy trudno pisma, składające taką orkiestrę, nazwać demokratycznymi.

Szan. sprawozdawca *Bibl. Warsz.* podnosi ofiarność naszych panów. Nie odejmujemy zasługi Działyńskim, Konarskim, Marcinkowskim, ale jednocześnie zapytamy, kto to wydał, leżący właśnie przed nami, *Pamiętnik Fizyograficzny*? — dzieło olbrzymie, zawierające blisko 500 str. w écarte, opatrzone kosztownymi mapami i rysunkami, które pochłonęło kilka tysięcy rubli niezwróconego w znacznej części nakładu? Czy fundusz na to nieocenione wydawnictwo dali nasi hrabiowie i książęta? Nie, biedni nauczyciele, młodzi badacze, którzy żadnymi kapitałami nie rozporządzają, i dla których 50 rs. więcej znaczy, niż dla najbiedniejszego z wystawców inwentarza — 5,000. Nawet między stu kilkudziesięcioma prenumeratorami tego *Pamiętnika* nie wysledziliśmy ani jednego wielkiego pana.

A jednakże na wyścigach, przy totalizatorze lub zielonym stoliku — ich hojności nie zbraknie. Złe w społeczeństwie, w którym materiały naukowe muszą wydawać ludzie ubodzy. Na nich u nas głównie spoczywa ciężar ofiarności publicznej. Przejrzyjmy listy składek dobroczynnych i policzmy, ile przypada na demokratów i arystokratów, a wtedy może przestaniemy palić mównic kadzidlą.

Demokratyzm naszej prasy! Twarz mimowolnie układa się do ironicznego uśmiechu. Dosyć przywieść sobie na myśl sposób traktowania u nas służebności. Uciążliwe onęsa, nikt nie zaprzeczy; chłop nadużywa często praw swoich — i to prawda; ale czyż prasa „demokratyczna“ powinna urządzić przed swymi czytelnikami sąd, który tylko jednej strony słucha? Wypadków, w których chłop pana skrzywdził i u komisarza sprawę wygrał, znamy mnóstwo, zdobia one codzienne szpalty wszystkich dzienników; ale takie, w których pan chłopą krzywdzi, są nam zupełnie nieznane. A jednakże jeśli pisma mają tak dobrych reporterów, że ci zawiadamiają je o każdej gałęzi skradzionej w dworskim lesie, dla czego milczą o pretensjach drugostronnych? Miałaby to być dowód ich demokratycznego charakteru?

Kiedy mowa o tej naszej demokracji, niechże mi wolno będzie uczcić jeszcze jeden jej objaw, zapisany przez *Nowiny*, a zamieszczony przez wszystkie pisma „demokratyczne.“ Najbogatsza, a więc najarystokratyczniejsza z naszych instytucji finansowych, Towarzystwo Kredytowe Ziemskie podwyższyło pensye swym urzędnikom ku wielkiemu uradowaniu naszej prasy. Gdy wszakże ci, którzy doznali błogich skutków owego podwyższenia, policzyli przybytek, okazało się, że Tow. Kredytowe, zamiast uszczęśliwić swych pracowników pierwszym działaniem arytmetycznym, uszczęśliwiło ich drugim. Wielkie wynalazki są zawsze proste, prostą też jest i ta operacja finansowa. Urzędnik, pobierający dawniej np. 600 rs. pensyi, otrzymywał przytem procenty na mieszkanie około 133, nagrodę roczną 75 rs. i gratyfikację dwuletnią 150 rs., razem rs. 900. Uniesione dobroczynnością Towarzystwo podwyższyło mu pensyę z rs. 600 na 800, ale obcięło dodatki. Środek arcydowcipny, jedynie zdolny pogodzić wspaniałomyślność z oszczędnością, podwyższenie pensyi z jej znizowaniem. Zauważyć przytem trzeba, że Tow. Kred. Ziemskie, nauczane doświadczeniem, umie oszczędzać kapitały, ażeby... no, ażeby ich potem nie miało.

Dnia 20 września ma się odbyć w Wiedniu kongres literacki, który porzuci jałowe pole zabezpieczania własności autorów, i zajmie się wypracowaniem projektu „wszechświatowej między nimi łączności.“ Zaiste temat wdzięczny, tem przyjemniejszy, że kłopotami o rozwiązanie tej zagadki nie przeszkodzi prawdopodobnie powodzeniu uczt i wycieczek w piękne okolice Wiednia. Uchwał tego kongresu wyglądam z niecierpliwością, bo nie mogę sobie wyobrazić, jakim on sposobem zdoła zaprowadzić łączność między mną — przepraszam, nie należę do kongresu — między p. Szymanowskim, urzędowym przedstawicielem naszej literatury, a Brandesem lub Breet-Hartem. Gdyby mi wolno było zabrać głos w tym przedmiocie, starałbym się zadanie kongresu znacznie uprościć i poddać jego światłemu sądowi myśl zaprowadzenia łączności między literatami pojedynczych krajów, a przedewszystkiem naszego. Jeżeli wśród dziesięciu autorów warszawskich rzadko znajduje się jeden, któryby nie chciał zjeść przynajmniej sześciu, to doprawdy, mając taki kłopot w domu, trudno zajmować się „łącznością wszechświatową.“ Nadto względem szan. naszego delegata polecam następującą kwestyę. Jeden z teatryków ogródkowych zamierzył przedstawić farsę polską p. t. *Król reporterów*.

row. Już były przygotowane kostiumy, muzyka i uzyskane pozwolenie cenzury urzędowej, gdy nagle dyrektor teatryku otrzymuje od jednego z pism wpływowych zawiadomienie, że operetka nie może być przedstawiona, gdyż w niej mają być jakoby pomieszczone wizerunki dwu tego pisma współpracowników. Daremnie autor tłumaczy się, że tych panów nie zna, daremnie dyrektor odwołuje się do poniesionych kosztów; cenzura prywatna ustąpiła wtedy dopiero, gdy przejrzała rękopis i wykreśliła z niego zakwestyonowane ustępy. Otóż radbym zapytał kongresu literackiego, czy podobne teroryzowanie własnej literatury jest godziwym, i czy instytucja cenzury prywatnej nie zasługuje czasem na zaszczepienie w innych krajach? Wolałbym, ażeby kongres przez usta delegata polskiego odpowiedział mi, że legenda ta jest złośliwym wymysłem. Zdaje mi się jednak, że jestem dobrze powiadomiony, i że fakt powyższy stanowi niezaprzeczoną własność naszej chwały. Jakże to jednak szczęście dla Europy, że Gambetta, Gladstone, Taaffe mniej dbają o swój honor, niż nasi reporterowie; inaczej musieliby nie tylko zakazywać tysiące gazet, karykatur i operetek, ale nawet wypowiadać wojny międzynarodowe. Niechże jednak ci panowie w przyszłym *Ziarnie* zapiszą aforyzm: literatura jest szkodnym koniem, który popastwisku winien chodźć spętany.

Obok tego faktu sprawiedliwość każe mi postawić inny, świadczący, że na innym polu lubimy swobodę i umiemy z niej korzystać. Za przykład służyć tu może pewna szkoła rzemiosł i buchalteryi dla kobiet, o której zajmujące szczegóły opowiada nam jeden z abonentów. I tak przez pół roku uczono przyszłe buchalterki przeważnie arytmetyki zwyczajnej, i dopiero „na usilne nalegania” zaczęto im wykładać buchalteryę. Wykład ten polegał na ustawicznym przepisywaniu starych brulionów ksiąg handlowych, a gdy to zajęcie wreszcie uczennicom dokuczyło, p. profesor (jedyny) pocieszał ich:

— Przepisawszy więcej takich książek, dojdziecie panie same do zrozumienia tego, czemu tak, a nie inaczej się zapisuje.

Dodać trzeba, że egzamin odbywał się znowu przed profesorami w jednej osobie, gdyż więcej ich „przyjść nie mogło”, i że jego owocem był patent, zawierający takie np. świadectwo: „N. N., uczęszczająca do zakładu, *zdaje się być dość dobrze uzdolnioną*.” Opinii tej musimy przyznać zupełną słuszość. Ponieważ ciało profesorskie w jednej osobie nie umie ani wykształcić, ani ocenić wiedzy uczennicy, bardzo więc sprawiedliwie postępuje, pisząc, że „*zdaje się być dość dobrze uzdolnioną*.” Zato nie zdaje się, ale jest pewnem, że zakład taki nie jest wcale uzdolniony do kształcenia w buchalteryi, o czem niniejszem na podstawie powyższego listu zaświadczyć można.

Pisma nasze oparły w odpowiednie ramki fakt zerwania róży w Ogrodzie Botanicznym przez jakiegoś „jegomościa w mundurze”, który obowiązującym w tem miejscu przepisom uległ nie chciał, a policjant zaarrestować go nie śmiał. Różę tę przesyłam ks. Szyszkowskiemu, proboszczowi w Białej i prefektowi tamtejszego gimnazjum, który w wykładzie religii nie dał się uwieść nawet przykładowi ks. Ołdakowskiego z Płocka. Sądze, że wyznawca starego stylu pedagogiki odpowie mi za to wdzięcznem: *merci*.

Posel Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Od lat kilku publiczności warszawskiej, śledząc tętno życia, budzące się wśród ognisk

prowinconalnych, powtarzają wesołą wrotkę: że ruch postępowy coraz szersze u nas zakresła koła, że mgła odwiecznej drzemki spływa z oblicza partykularzy. Jest w tem dużo prawdy: Lublin, Piotrków, Kalisz i inne miasta gubernialne podążają widocznie za Warszawą, a trzeciorzędne i dalsze ogniska próbują je naśladować; szkoda tylko, że rozwój sił zasklepionych jest nader powolny, i że drożyna warszawska wprzód się daje uczuć prowincyi, niż dodatnie, błogie skutki postępu. Ale bądźmy cierpliwi... Obfitsze zakratowanie sieci dróg żelaznych ułatwi przepływ nowym ideom. W sferach rządowych poruszone ostatniemi czasy kwestye kolei Łódzko-Kaliskiej. Oby projekt ten, tak ważny dla zachodniej części Królestwa, nie rozplął się we mgle marzeń i nie plesniał w latach całe lat dziesiątki! Pomnożone tory komunikacyjne ułatwią nadewszystko porozumiewanie się ludu w sprawach przemysłu rolniczego; umożliwią, rozpowszechnią takie zjawiska, jak zapowiedziana w pismach na dzień 13 sierpnia — wystawa koni i sprzętów włościańskich w Janowie na Podlasiu. Wzmocze się niewątpliwie ruch i w innych dziedzinach: czytelnie, kasy wzajemnej pomocy, straż ogniowej staną się bardziej, niż dziś popularnemi. Tymczasem zanotujmy parę faktów pożądaných, a obok nich — wiązanek zdarzeń ujemnej natury: niechaj pierwsze służy za wzór, a drugie za bodziec do rozumnej działalności.

Założono niedawno dwie spółki kolportacyjne — jedną w Mławie, drugą w Lipnie. W Łodzi powstała nowa księgarnia — nie wywieszająca, jak sądzę z brzmienia firmy, sztandaru: „Drang nach Osten!” W Makowie (gubernii łomżyńskiej) inaugurowano w pierwszej połowie zeszłego miesiąca złożoną z miejscowych ochotników, obywatelską straży ogniową. Ten ostatni wypadek jest typowym ruchem w przyszłość. Klęski pożarów, które uważać można już za skutek ślepej nieostrożności i przypadku, już to za wyraz reakcyi ciemnego, nędzą do ziemi przybitego proletaryatu, podszeptują tu i ówdzie założenie straży ogniowej, jako pospolity a jedynie pewny środek samoobrony. Pożary są w samej rzeczy nieustającym a bolesnym bodźcem ruchu dla zapadłej nawet prowincyi. Niedawno nam doniesiono, że Hrubieszów się pali; potem — że w Augustowie 400 domów spłonęło; prawie jednocześnie odebraliśmy szczegółową wiadomość o zagładzie najlepszej dzielnicy Mińska (gubernialnego), i po raz piąty dotkniętego klęską ognia, miasteczka Korca na Wołyniu. Smutniejszym o wiele, bo zdradzającym zgniliznę moralną zjawiskiem są kradzieże zuchwale, jakich się czern pod czas pożarów dopuszcza, a co gorsza — nie ludzkość, posunięta, wobec nieszczęśliwych innowierców, do najwstrętniejszej niekiedy ostateczności. Wymowną ilustracją tej rany jest drukowana niedawno w Nowinach — korespondencya z Korca, (patrz N. 185). Czytając to, powtarzamy mimowoli słowa wieszczki niemieckiej: „Więcej światła!” Szczęściem wypadki wprost przeciwniej natury wypogadzają nasz pogląd na społeczeństwo. Niedawno kapło się w Warcie, pod Częstochową trzech małych chłopów: odważnych a nieumiejętnych pływaków uniósł prąd wody — niebezpieczeństwo było groźne: huzar, Fijałkowski, z narażeniem własnego życia — wyratował dwu malec; trzeciego wyciągnął z wody — trupem. Czyn filantropijny przynosi chlubę swemu sprawcy, ale powód sam budzi ponurą myśl o braku opieki nad całością i zdrowiem przyszłych obywateli kraju.

Na zakończenie podamy szczegół, świadczący z jednej strony o mało rozwiniętem u naszego ludu poszanowaniu cudzej własności, z drugiej — o nierozwiązanej dotąd kolizyi między różnemi odrosłami naszych sądów. W dobrach Bodzechów,

w powiecie opatowskim — włóścianie pod pozorem zwożenia przysługującej im (zprawa służebności) t. z. „leżaniny” — kradną drzewo sagowe. Kilka lat temu, schwytani na gorącym i zapoznani przed sąd komisarzski (jak powiada gazeta *Wiek*), uwolnieni zostali od odpowiedzialności na tej zasadzie, że świadkowie czynu byli ludźmi zostającymi w służbie ustrony skarżącej. Sprawa przeszła potem do komisji gubernialnej, która potwierdziła wyrok pierwszej instancyi. Pokrzywdzony udał się pod skrzydła czasowej komisji w Petersburgu, ale tu otrzymał odpowiedź, że kwestya należy do kompetencji sądów właściwych. Z kolei więc zajął się nią tymczasowo sąd gminny i zjazd sędziów — bez skutku jednak, bo prezydya te uznały się za niekompetentne wobec danej sprawy. Korespondent, donoszący o fakcie, objaśnia, że „od daty podania skargi aż do chwili obecnej upłynęło lat trzy.” Nie mamy zamiaru zastanawiać się nad tym, obfitującym w nieoczekiwane fazy, wypadkiem, przypominamy tylko, że kradzież drzewa przez włóścian stanowi odwieczny ich przemysł, że przeciw tej epidemii moralnej powinna oddziaływać inteligencya miejscowa... Obojętność w tym względzie zdumiewa i zarazem oburza: są bowiem miasta (np. Kielce), gdzie handel drzewem kradzionem jest rzeczą całkiem pospolitą, jednym z uznanych, a co najmniej — tolerowanych powszechnie gałęzi... *pracy*.

A—m.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 13 lipca.

Dzisiaj książę Aleksander bułgarski odbywa „uroczysty” wjazd do Sistowa na otwarcie „konstytuanty”, mającej w imieniu narodu dać odpowiedź na znane, przeciwkonstytucyjne jego ultimatum. Wybory przeprowadzone pod gorliwą aż do zbytku opieką władz cywilnych i zbrojnych, a dla większej pewności skoncentrowane w miejscu obrad 5,000 wojska — „celem strzeżenia parlamentu” — zabezpieczają księciu zwycięstwo. Wielkie zgromadzenie narodowe, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, przyjmie warunki podyktowane. Naczelnicy opozycyi wynoszą się za granicę, i wszystko będzie cicho, pięknie.

Za kilka dni przekonamy się już o początku urzeczywistnienia tej przepowiedni, t. j. o uchwaleniu Izby w Sistowie; koniec wszelako przewidzieć nie tak łatwo, bo nie brak zdań, wcale kompetentnych, które głoszą przekonanie, iż dyktatorskie siedmiolecie bynajmniej nie pójdzie gładko. Żywiły opozycyjne, nie tylko w księstwie bułgarskim, ale i w Rumelii wschodniej, zdradzają wrzenie wewnętrzne, przy którem eksplozję nie trudno, a nadto ponad Bałkanem okazuje się chmurka, która nie tylko spokój Bułgarii, ale całe położenie półwyspu i wszystkie skrzyżowane tam interesy wielkich opiekunów poruszyć może. Zapowiadają znowu od kilku dni dość uprzejmie, że Porta otomańska zabiera się całkiem poważnie do zajęcia wojskiem wązów bałkańskich, z którego to prawa, przez traktat berliński jej przyznanego, nie korzystała dotychczas tylko „dla świętego spokoju.” Wprawdzie ochoty po temu nie brakło w Stambule i dawniej, lecz poskramiały ją „rady” mocarstw kongresowych. Ostatniemi czasy jednak Porta dowiodła, że umie się ryzykować na awantury, jakby pod wpływem przekonania, że goły niema nie do stracenia. Faktem zaś ma być, że korpus adryanopolski przygotowany stoi do marszu w Bałkany, i że tylko ze względu na tę zamierzoną operacyę Porta zdecydowała się bez wykrętów skończyć sprawę grecką i całkiem wycofuje się z opozy-

cyi względem gospodarującej w północnej Afryce Francyi. W ten sposób przedstawiają sytuację poważne dzienniki jak *Kołońska*, i *N. fr. Presse* i inne, nadmieniając, iż z bułgarską sprawą w związku zostaje zapowiedziany zjazd cesarzów Austrii i Niemiec w Gasteinie oraz Bismarck z Haymerlem w Kissingen. Co do nas, jesteśmy mało skłonni do wiary w grozę tego obrazu; winogrona wschodnie rzeczywiście nie dojrzały jeszcze do spożycia dla amatorów tak oględnych w szafowaniu trudami, jak są Austro-Węgry.

Do spraw wschodnich nadmienić jeszcze należy, że trybunał kasacyjny w Stambule zatwierdził wyrok śmierci na skazanych w procesie o morderstwo Abdul Azisa: Midhata i Mahmuda, paszów — oraz ich towarzyszy. Zapewniają, że sułtan zamieni wyrok śmierci na wygnanie.

Francuzi dobrze się pocą w Afryce. Powstanie w południowej Algeryi rośnie w siłę, toż samo mówią o luznych dotychczas objawach ruchu zbrojnego w Tunetanii. Nowe posiłki wojskowe wysyłają się znów do Afryki. Niemily ten stan w połączeniu ze wznowionymi atakami prasy angielskiej i włoskiej, oraz ciągłemi interpelacyami w londyńskiej Izbie gmin — wytwarza położenie bardzo kłopotliwe dla Rzeczypospolitej. Stosunki też jej z Anglią i Włochami, z powodu sprawy tunetańskiej naruszone, jakkolwiek zdawały się już pomyślnie składać, dziś bynajmniej za załatwienie uważane być nie mogą. Ciekawe na tej kanwie rysują się epizody.

Francuska Izba poselska, w ciągu obrad nad budżetem, odrzuciła wniosek zniesienia poselstwa przy Watykanie i postanowiła utrzymać je bez żadnej zmiany. Pan Barthelemy rozwodził się przy tej sposobności szeroko o katolicyzmie Francyi i o potęgę papieża. Na to powiada włoska

Riforma, że przyjdzie jeszcze czas, iż Rzeczpospolita francuska przyłoży rękę do odbudowania świeckiej władzy papieża. Chyba Rzeczpospolita Jules Simona!

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Miasto Augustów po raz czwarty w tym roku uległo w tych dniach klęsce pożaru, z 500 domów zaledwie 100 pozostało. Taż sama klęska dotknęła Mińsk litewski (szkody wynoszą około 1.000.000 rs.), i Korzec na Wołyniu.

— Ministerstwo oświecenia postanowiło udzielać stopni naukowych technologa i inżyniera-technologa osobom, kończącym odpowiednie zakłady zagraniczne, z warunkiem złożenia egzaminu w kraju.

— Minister oświecenia polecił kuratorowi okręgu naukowego charkowskiego zakładanie biblioteczki ludowych w ziemi wojska dońskiego, z których mają korzystać netylko uczniowie szkół elementarnych, i ale dorośli.

— W Intendenturze mają być zaprowadzone wielkie zmiany, przez zniesienie wielkiej liczby magazynów i urzędników, co przyniesie około 500.000 rs. oszczędności rocznie.

— Gubernator kowieński przedstawił do zatwierdzenia ministeryum spraw wewnętrznych projekt urządzenia w Kownie centralnego domu dla obłąkanych, którego potrzeba dawała się czuć bardzo w tamtych okolicach.

— Znowu cztery majątki polskie w Poznańskiem przeszły w ręce niemieckie: Łaszczyńskiego dobra Grabowo i Krzywa góra, Pilaskiego Zieleniec, Szoldrskich Podowo i Barchlin, wreszcie Radziwiła Chociszewice — te ostatnie nabył Hauseman z Berlina za 1.200.000 talarów.

— W tych dniach odbyło się ogólne zgromadzenie warszaw. stowarzyszenia subjektów handlowych.

— W Białymstoku założono stowarzyszenie spożywcze *Oszczędność*.

Sztuki piękne. Komitet wystawy dzieł sztuki, stosowanej do przemysłu, ma wydać jej album fotograficzne.

— Popis Instytutu Muzycznego warszawskiego odbył się 26 czerwca w sali Ratuszowej.

— Znany muzyk, p. Żeleński przeniósł się na stałe do Krakowa.

Teatr. W teatrze Belvue przedstawiono w tych dniach po raz pierwszy *Pocztowych próżniaków* Bałuckiego, oraz operetę Supego — *Juanita*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. E. Kr. w Krzemieńcu. Wysłaliśmy ponownie wszystko, prócz Nr. 12, który wyczerpany. Praca Spasowicza drukuje się.

P. Flejczerskiemu w Międzyrzeczu. Pierwszą połowę dodatku wysłaliśmy; należy nam się kop. 50. Oplatę za pana wniesiono dopiero 10 lipca.

P. R. N. J. w Łopusznie. Wysłaliśmy całość, bo pierwsza połowa wyczerpana.

P. S. Sch. w Hamburgu. Wysłano.

P. I. Matusiewiczowi. Nr. 2 wyczerpany, kop. 30 zapisaliśmy na rachunek Pański.

P. H. II. w Proskurowie. Nr. 26 wysłany.

P. I. D. z B. List do Spasowicza wysłany.

P. M. K. w Radomiu. Nr. 27 wysłany.

P. Józefowi P. Abonenci, którzy zaprenumerowali *Langego* w redakcyi *Prawdy*, tamże mogą tę książkę nadal odbierać. Ogłoszenie nasze stosuje się do reklamacyi o zagubione zeszyty, zwłaszcza przy wysyłce prowincjonalnej.

P. Józefowi Mat. w Kursanach. Nr. 2 wyczerpany — marki do dyspozycji Pańskiej.

P. Kowerskiego w Żabnie prosimy o podanie ostatniej stacyi pocztowej, gdyż jej w liście obustalunkowym nie znaleźliśmy.

OGŁOSZENIA

Administracya „Fabryki Chemicznej wypalania kości“ oraz Fabryk Cukru: „Marya, Lanięta i Izabelin“

N. MAYZNERA

w Warszawie, ulica Grzybowska Nr. 11,

uprasza panów obywateli, gospodarzy i ogrodników, o wczesne zamówienia nawozu chemicznego: palonego miału kostnego, zwierzęcego, zwanego **spodium**, zaprawianego kwasem siarczanym według analizy chemicznej. Wczesne zamówienie powyższego jest pożądane w celu uniknienia odmowy z powodu nadmiaru obustalunków.

3—3

DOM HANDLOWY

Kaniewski i Wasilewski

w Warszawie Nowo-Senatorska Nr. 5

ma honor polecić na zbliżający się sezon:

Patentowane w Niemczech, Francyi, Anglii i na całą Rosyę

KARTOFLARKI SYSTEMU GŁĘBOCKIEGO

których wyłączną sprzedaż na Królestwo Polskie i całą Rosyę posiadamy.

Kartoflarka Głębockiego przy obsłudze trzech lub czterech koni i osiemnastu ludzi do zbierania, wyorywa dziennie przeszło 3 morgi trzypiętrowe, kartofle układa rzędem bardzo dobrze i nie pozostawia nic w gruncie.

Podług dokładnych obliczeń koszt wykopania korca kartofli wyniesie pięć groszy.

Kartoflarka Głębockiego funkcjonowała w roku zeszłym jak najlepiej w W-go Antoniego Rogawskiego w Kodrębiu p. Nowo-Radomsk, który na rok bieżący zamówił u nas 3 egzemplarze.

Ze względu na znaczną już ilość zamówionych Kartoflarek Głębockiego, upraszamy Sz. Panów Ziemian, pragnących nabyć tę maszynę dla uniknienia zawodu o jaknajwcześniejsze zadatkowanie zamówienia, ponieważ rozporządzamy już tylko niewielką ilością egzemplarzy.

Cena patentowanej kartoflarki Głębockiego wynosi **Rs. 225 franco Warszawa**.

Szczegółowe opisy ze świadectwami o użyteczności i praktyczności tej maszyny znanych wzorowych i postępowych gospodarzy na każde żądanie odwrotną przesyłamy pocztą.

2—2

F. A. LANGE.

HISTORIA FILOZOFII MATERIALISTYCZNEJ

tlomaczenie

FELIKSA JEZERSKIEGO,

siódmy zeszyt opuścił prasę.

Treść: Materializm po Kancie (dokończenie). Rozdział II. Nauki przyrodnicze. 1. Materializm i badanie ścisłe. 2. Siła i Materya. 3—1

Prenumeratory „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.